

Podróż przez rzeczywistość

Maciej Woźniak

Podróż przez rzeczywistość

O twórczości Marka Nowakowskiego



Kraków 2018

BIBLIOTEKA KWARTALNIKA KULTURALNEGO
„NAPIS. LIRYKA, EPIKA, DRAMAT”

REDAKCJA NAUKOWA
Marian Kisiel, Wojciech Kudyba, Józef Maria Ruszar

RECENZJA NAUKOWA
Wojciech Kudyba

AUTOR
Marek Nowakowski

AUTOR OPRACOWANIA
Maciej Woźniak

REDAKCJA JĘZYKOWO-STYLISTYCZNA I KOREKTA
Paulina Bieniek

PROJEKT KSIĄŻKI I OKŁADKI
Marcin Bruchnalski

NA OKŁADCE
Marek Nowakowski, fot. Filip Błażejowski, FORUM

SKŁAD I ŁAMANIE
Piotr Owsiany

Zrealizowano ze środków
Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.
Financed by
the Polish Ministry of Culture and National Heritage.

Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego.

© by Polskie Wydawnictwo Muzyczne, Kraków, Poland, 2018

ISBN 978-83-224-5115-1

PWM 20 854

wydanie I
Polskie Wydawnictwo Muzyczne
al. Krasińskiego 11 a, 31-111 Kraków
www.pwm.com.pl

Wykaz stosowanych skrótów dzieł literackich Marka Nowakowskiego

- G – *Gonitwa*, Czytelnik, Warszawa 1967.
- M – *Mizerykordia*, Czytelnik, Warszawa 1971.
- ŚŻ – *Śmierć żółwia. Opowiadania*, Czytelnik, Warszawa 1973.
- GJDW – *Gdzie jest droga na Walne?*,
Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1974.
- WRJ – *Wesele raz jeszcze!, Zdarzenie w Miasteczku*,
Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1982.
- RSW – *Raport o stanie wojennym*,
Zakłady Wydawnicze Versus, Białystok 1990.
- GB – *Grecki bożek*, Wydawnictwo „Alfa”, Warszawa 1993.
- P – *Powidoki*, Wydawnictwo „Alfa”, Warszawa 1995.
- PP – *Prawo prerii*, „ABC”, Warszawa 1999.
- OU – *Opowiadania uliczne*, „Twój Styl”, Warszawa 2002.
- N – *Nul*, Wydawnictwo „Alfa”, Warszawa 2004.
- NE – *Nekropolis*, Świat Książki, Warszawa 2005.
- CiM – *Czarna i Mała*, Świat Książki, Warszawa 2010.
- SG – *Silna gorączka*, Wielka Litera, Warszawa 2012.
- TSZ – *Ten stary złodziej. Benek Kwiciarz*,
Wydawnictwo Iskry, Warszawa 2012.

Wszystkie utwory z powyższych zbiorów cytowane według ustalonych w nich wersji oraz paginacji.

Rozdział I

Życie jak rzeka**Biografia Marka Nowakowskiego**

Na wstępie naszej podróży warto przywołać słowa Marka Nowakowskiego z opowiadania *Rzeka* z tomu *Powidoki*:

Jeszcze do niedawna pływały statki wycieczkowe do Młocin. A bardzo dawno temu popłynąłem sobie statkiem do Płocka. Skończyły się te długie rejsy. Koryto nie pogłębiane, zmienny nurt, pełno zdradliwych płycizn. Rzeka jednak żyje nadal i, mimo że miasto napiera z dwóch stron, zachowała swą niezależność. W jej mętnej, brudnej wodzie zaklęta została resztką smaku swobody i tak dziwnie jakoś pociąga obserwacja kawałka drewna czy patyka, który płynie z prądem. Skąd płynie? Dokąd? To miało i ma swój czar (P 9).

Trudno wybrać fragment, który stałby się adekwatnym wstępem do opowieści o życiu i twórczości Marka Nowakowskiego – jednego z najpłodniejszych polskich prozaików XX wieku, autora kilkudziesięciu zbiorów opowiadań, kilku powieści, a także scenariuszy filmowych oraz licznych felietonów drukowanych na łamach prasy. Istnieją pisarze uzależnieni od pisania. Tak mówi się niekiedy o autorach dzienników – prowadzących systematyczne zapiski przez kilkadziesiąt lat. Marek Nowakowski nigdy nie prowadził dziennika w sensie dosłownym, ale duża częstotliwość, z jaką wydawał kolejne zbiory opowiadań, wynikała, być może, z podobnej jak u autobiografów potrzeby nieustannego opisywania rzeczywistości, a zarazem stwarzania świata na nowo dzięki słowu literackiemu. Może to nie przypadek, że ostatnie dzieło Nowakowskiego – wydane w 2012 roku, a więc dwa lata przed jego śmiercią – to autobiograficzny *Dziennik podróży w przeszłość* (właściwie nie dziennik, lecz pamiętnik). Choć w tej akurat książce Nowakowski mówi o sobie wprost, w pewnym sensie stanowi ona klamrę zamykającą wieloletnią drogę pisarza, który – począwszy od swojego literackiego debiutu, czyli opowiadania *Kwadratowy* wydrukowanego w 1957 roku na łamach „Nowej Kultury” – nie przerywał wędrówki po różnych zakamarkach rzeczywistości, przyglądając się jej rozmaitym przejawom, począwszy od tak zwanych ludzi marginesu, przez obserwację mechanizmów rządzących społeczeństwem w epoce PRL, a skończyw-

szy na gorzkim oglądzie Polski okresu transformacji ustrojowej. Autor *Powidoków* był kronikarzem oddającym za pomocą pióra kolejne doświadczenia i wydarzenia dostrzegane w otaczającym go świecie, a także refleksyjnym obserwatorem dzielącym się w gęstych literackich obrazach głębokim, niemal lirycznym namysłem nad kondycją człowieka i jego miejscem w rzeczywistości. Życie płynęło, historia płynęła, płynął i Nowakowski. Jednak nie jak bezradny rozbitek, lecz pisarz z rozmysłem i czułością przyglądający się ludziom i światu; przyglądający się przez lata rzece świata, czasem spokojnej i cichej, czasem wzburzonej i niepojętej.

Jest coś poruszającego w cytowanym wyżej prostym przedstawieniu rzeki, otwierającym *Powidoki* Nowakowskiego. Jakaś głębia skrywająca zachwyt i żal, zadumę i czułość, niepokój i zgodę. A przede wszystkim przywiązanie do otaczającej nas rzeczywistości – znanej, codziennej, konkretnej, w tym przypadku warszawskiej. Jej właśnie Marek Nowakowski przyglądał się przez dekady. Jego twórczość odsłania zarówno samego autora, jak i świat, w którym był on zanurzony. Pozostaje ona stylistycznie spójna, zarazem jednak ukazuje różne oblicza pisarza, który – podobnie jak i jego świat – zmieniał się, płynąc w rzece czasu.

Nowakowski przyszedł na świat w Warszawie na początku kwietnia 1935 roku. Jego rodzicami byli Antoni i Stanisława (z domu Jabłońska). Rodzina przyszłego pisarza miała tradycje inteligentkie: Antoni Nowakowski był z zawodu nauczycielem, pełnił funkcję dyrektora szkoły podstawowej (tej zresztą, do której za młodu uczęszczał jego syn, przyszły pisarz). Marek od najmłodszych lat jawił się jako chłopak niezwykle bystry; wydawało się, że czeka go jasno wytyczona przyszłość inteligenta. W 1953 roku podjął zresztą studia na wydziale prawa Uniwersytetu Warszawskiego, które ukończył pięć lat później, choć nie był pilnym studentem, w czterech ścianach pokoju gorliwie zgłębiającym prawnicze kodeksy. Jeszcze jako licealista tymczasowo przerwał naukę i przez jakiś czas pracował na warszawskim lotnisku Okęcie. Kilka lat później, już jako student prawa, miał się rozmaitych zajęć, był między innymi pomocnikiem cieśli. Jako nastolatek uległ młodzieńczej fascynacji ideologią komunistyczną, do czego sam wielokrotnie się przyznawał. Przez krótki czas należał do Związku Młodzieży Polskiej. Sam, po latach

wspominając swoje nastoletnie przeżycia, przyznawał szczerze i jednoznacznie, że „został zaszczepiony komunistyczną propagandą”. Owo zatrucie okazało się jednak niezbyt poważne i nie trwało długo, wszak w niedalekiej przyszłości Nowakowski miał się stać jednym z najzarliwszych antykomunistów wśród rodzimych literatów. Młody student prawa nie stronił zatem od miejskiego życia – utrzymywał kontakty z różnymi mieszkańcami stolicy, często pochodzącymi z półświatka. Sam także miał zatargi z prawem, trafił nawet do więzienia, gdzie spędził kilka miesięcy. Również i te doświadczenia nie pozostały bez wpływu na twórczość Nowakowskiego, zwłaszcza tę wczesną. Kontakty z mieszkańcami warszawskiej ulicy miały wkrótce znaleźć odzwierciedlenie w debiutanckich utworach pisarza.

W 1957 roku na łamach rodzimej prasy pojawiło się opowiadanie *Kwadratowy*. Opublikowała je „Nowa Kultura”. Nowakowski w barwny sposób odmalował w nim życie ludzi ulicy, a ukazując specyficzne perypetie tytułowego bohatera, zawarł w swoim tekście także uniwersalny przekaz dotyczący trudu życia. Stylistycznie był bliski realizmowi, upodabniając swój pisarski idiom do środowiskowego żargonu przedstawianej grupy społecznej i wiernie odwzorowując realia więziennego życia. Oddajmy głos samemu utworowi:

Kwadratowy usiadł na ławce, która zakołysała się. Wyciągnął papierosa. Poczęstował wszystkich. Palili, wpatrując się w strużki dymu. Czekali, co teraz powie, zaś on począł mówić, wolno, z namysłem oglądając swe brązowe ręce.

– Nie jestem frajerem. Nazywają mnie Kwadratowy. Siedziałem już...

Krostowaty wymienił kilka znanych w Polsce więzień. Pytał podstępnie, jak tam, a tu – wreszcie:

– Kolę znasz?

Kwadratowy znał... (*Kwadratowy*, TSZ 121)

Niedługo potem to i inne opowiadania złożyły się na pierwszy tom Nowakowskiego zatytułowany *Ten stary złodziej*. Zbiór ukazał się w 1958 roku.

Debiut książkowy młodego autora zbiegł się w czasie z osobliwą atmosferą politycznej odwilży po 1956 roku. Przypomnijmy: po śmierci Józefa Stalina w 1953 roku w PRL zakończył się kilkuletni okres terroru, najokrutniejszy czas w powojennej historii Polski. Kolejne lata przyniosły zmiany w ZSRR, które nie pozostały bez

wplywu na pozostałe państwa bloku wschodniego. W 1956 roku I sekretarz Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego Nikita Chruszczow na zjeździe partii wygłosił referat pod tytułem *O kulcie jednostki i jego następstwach*, który uprawomocnił odcięcie się KPZR od niedawnego okresu i zwiastował nowy model polityki – wciąż autorytarnej, lecz – jak się wówczas wydawało – mniej okrutnej i krwawej. W tym samym roku zmarł dotychczasowy I sekretarz Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej Bolesław Bierut. W czerwcu w Poznaniu doszło zaś do protestu robotników, krwawo stłumionego przez władze, co przyczyniło się do przyspieszenia procesu reformy państwa. Te przyszyły wraz z „październikową odwilżą” 1956 roku, czyli zmianami na czele władzy i mniej represyjną polityką wewnętrzną. Skutkowało to między innymi uwolnieniem wielu więźniów politycznych (w tym prymasa Stefana Wyszyńskiego) czy złagodzeniem cenzury.

W tych właśnie warunkach po latach panowania socrealizmu w polskiej sztuce mogła zaistnieć nowa formacja artystyczna. Zaczęły się rozwijać literackie kariery Zbigniewa Herberta, Sławomira Mrożka, Mirona Białoszewskiego czy Jarosława Marka Rymkiewicza. Powstawały też grupy literackie, spośród których jedną z ważniejszych okazała się Grupa Literacka Współczesność, skupiająca takich pisarzy, jak Stanisław Grochowiak, Ernest Bryll, Ireneusz Iredyński, Andrzej Brycht czy właśnie młody, debiutujący Marek Nowakowski. Grupa nie miała jasno określonego programu, istotniejsze było to, że pozwalała młodym literatom – po raz pierwszy w powojennej Polsce – tworzyć z pewną dozą wolności i słowem opisywać rzeczywistość. Tak też czynił autor *Kwadratowego*. Scenerie jego opowiadań dobrze oddawały istotę popaździernikowych przemian, zmierzających w stronę przywrócenia literaturze prawa dostępu do realnej rzeczywistości. W poprzednich latach trudno było bowiem sobie wyobrazić, że przez rygorystyczne zasieki cenzury przedostają się i wychodzą ku czytelnikowi utwory w sposób bezstronny opisujące świat bohaterów, których słusznie można było podejrzewać o prowadzenie życia stojącego w sprzeczności z tak zwaną socjalistyczną moralnością.

Utwory Nowakowskiego publikowano we „Współczesności” w latach 1958–1962. Innymi ważnymi czasopismami, w których ukazy-

wały się jego opowiadania, to „Twórczość”, w której publikował przez dwie dekady od 1958 do 1978 roku, oraz „Więź” (1961–1981). Młody prozaik szybko zyskał uznanie świata literackiego i krytyków. Doceniano oryginalny klimat jego opowiadań i charakter języka w wierny sposób oddającego „ducha ulicy”. Jednocześnie jednak przypinano etykietkę twórczości pisarza, spłaszczając jej przesłanie i spychając ją w stronę tak zwanego małego realizmu, czyli nurtu w polskiej prozie koncentrującego się tylko na realistycznym, a często wręcz naturalistycznym ukazywaniu prostego, codziennego życia.

W roku 1968 Nowakowski został laureatem Nagrody Fundacji im. Kościelskich, jednej z najbardziej prestiżowych nagród literackich w Polsce. W roku 1969 wstąpił do Związku Literatów Polskich, którego był członkiem aż do rozwiązania go w 1983 roku. W kolejnych latach pisarz nieustannie tworzył i wydawał kolejne tomy opowiadań, spośród których najważniejsze, powstałe w tamtym okresie, to *Silna gorączka* (1963), *Gonitwa* (1967), *Mizerykordia* (1971), *Śmierć żółwia* (1973). W latach 70. Nowakowski tworzył też opowiadania dłuższe, które czasem określa się mianem minipowieści, a które zajmują istotną pozycję w jego dorobku z tamtego okresu. Szczególne znaczenie mają tu *Wesele raz jeszcze!* (1974), w którym pisarz, kreśląc obraz wiejskiego wesela, zarysował zarazem obraz polskiego społeczeństwa tamtego czasu, oraz *Księżę Nocy* (1978) opowiadający historię relacji młodzieńca zafascynowanego warszawskim półświatkiem i kogoś, kogo traktował jako mistagoga, mistrza swoistego obrzędu wprowadzającego w tajemne sfery życia. Warto zauważyć, że w drugiej połowie lat 60. i w latach 70. cała proza Nowakowskiego uległa znaczącym przeobrażeniom. Co prawda pisarz dalej był „bliski ulicy” w tym sensie, że scenerią jego utworów z zasady była przestrzeń miasta, a bohaterami zwykli ludzie, jednak nie ograniczał się tylko do prezentacji przygód złodziei i rzezimieszków. Na kartach swoich opowiadań opisywał przedstawicieli różnych grup społecznych i ich perypetie. Również w tym czasie Nowakowski rysował swoich bohaterów zaledwie kilkoma sugestywnymi kreskami, dbał o wiarygodność portretu zewnętrznego, jak i przeżyć wewnętrznych. Obserwacja zwyczajności życia stanowiła dla niego pretekst do ukazania szerszego, uniwersalnego planu ludzkiej egzystencji.

W 1977 roku został współzałożycielem literackiego czasopisma „Zapis”, w którym publikował i w którego działalność angażował się w kolejnych latach. Pisarz pozostawał też aktywny społecznie i często ujawniał swój krytyczny stosunek do władz Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Pod tym względem najistotniejszym wydarzeniem mającym miejsce w latach 70. było podpisanie przez niego „Memoriału 101”, czyli protestu przeciwko planowanym zmianom w konstytucji PRL. Zmiany te zakładały między innymi wprowadzenie zapisów stwierdzających przewodnią rolę PZPR i jej siłę polityczną w budowie społeczeństwa socjalistycznego. Miały się w niej znaleźć również zapisy o umacnianiu przyjaźni między PRL a ZSRR, a także o zależności między prawami obywatelskimi i „wypełnianiem obowiązków wobec ojczyzny”. Nowakowski, tak samo jak inni sygnatariusze memoriału, musiał się liczyć z konsekwencjami swoich działań – przede wszystkim z objęciem jego twórczości zakazem druku przez pewien czas.

Właśnie dlatego jeden ze swoich najważniejszych utworów – zbiór krótkich opowiadań *Raport o stanie wojennym* – Nowakowski wydał nie w Polsce, lecz w paryskim wydawnictwie Kultura, prowadzonym przez Jerzego Giedroycia. Książkę tę, będącą mozaiką relacji, obserwacji i myśli zapisywanych podczas stanu wojennego w Polsce (na początku lat 80. ubiegłego wieku), powszechnie uważa się za jedną z najważniejszych pozycji w dorobku pisarza – nie tylko z uwagi na oryginalność formy i walory literackie, ale także ze względu na wagę historycznego świadectwa. Ten zbiór lakonicznych, zazwyczaj kilkustronicowych szkiców – w których Nowakowski do perfekcji doprowadził językową zwięzłość od zawsze wyróżniającą jego twórczość – funkcjonował jak kalejdoskop, w którym odbiorca mógł przyjrzeć się obrazowi kraju i społeczeństwa znajdujących się w sytuacji ucisku. To poruszające świadectwo zostało docenione i nagrodzone. Publikacja *Raportu o stanie wojennym* stała się jednym z najważniejszych wydarzeń literackich polskiej emigracji tamtego okresu. Pisarz za ten zbiór został uhonorowany francuską literacką Nagrodą Wolności, a przewodniczącym jury był sam Eugène Ionesco, wybitny dramaturg, współtwórca teatru absurdu, autor *Łysej śpiewaczki*. Nowakowskiego uhonorowano także nagrodą kulturalną Solidarności w 1983 roku.

Warto zaznaczyć, że pisarz, pozostając w kraju, odważnie opublikował swój zbiór pod własnym nazwiskiem. Na skutki nie trzeba było długo czekać. Na początku marca 1984 roku Nowakowskiego aresztowano, stawiając mu zarzut „publikowania oszczerczych tekstów dotyczących ustroju i organów władzy oraz kolaboracji z osobami reprezentującymi organizacje zachodnie uprawiające szkodliwą działalność wobec Polski Ludowej”¹. Wydarzenie to doprowadziło do licznych protestów przeciwko uwięzieniu pisarza. Miały one miejsce zarówno w kraju, jak i za granicą. List protestacyjny skierowany do Prezesa Rady Ministrów PRL, w którym nawoływano do uwolnienia Nowakowskiego, podpisało przeszło stu dwudziestu polskich literatów. Ostatecznie autor *Księcia Nocy* spędził w areszcie trzy miesiące, a na wolność wyszedł na mocy amnestii.

W drugiej połowie lat 80. Nowakowski publikował przede wszystkim w prasie emigracyjnej. W „Kulturze”, w „Zeszytach Literackich” wydawanych w Paryżu (tam jego opowiadania ukazywały się w latach 1985–1986) oraz w wydawanych w kraju poza cenzurą niezależnych czasopismach, takich jak „Kultura Niezależna” (1985–1988) czy „Obecność” (1986).

Wydawać by się mogło, że Nowakowski, zaciekle antykomunista, wypatrujący przez lata upadku systemu, powinien z radością przywitać okres przemian ustrojowych, zapoczątkowany w 1989 roku. Tak się jednak nie stało, a pisarz nie zaliczał się nigdy do apologetów transformacji ustrojowej, której symbolem były obrady Okrągłego Stołu. Podobnie jak w okresie PRL w III RP prezentował krytyczny stosunek do wydarzeń politycznych i społecznych oraz cywilizacyjnych przemian. Zauważał, że nie zostały wykorzystane szanse solidarnościowej opozycji i że niewystarczająco rozliczono się z władzą komunistyczną. Był sceptyczny wobec galopujących przemian ekonomicznych, które skutkowały pogłębianiem się różnic społecznych i rozwojem konsumpcjonizmu, a także prymatem „mieć” nad „być”. Obserwacje i refleksje dotyczące Polski okresu przełomu zawarł między innymi w tytułowym opowiadaniu ze zbioru *Homo Polonicus* (1992) oraz w zbiorze *Grecki bożek* (1993).

Mimo zmiany systemu politycznego w kraju Nowakowski w pewnym sensie pozostawał w nowym tysiącleciu „w drugim obiegu”,

¹ P. Czapliński, *Kalendarium życia literackiego 1976–2000: wydarzenia, dyskusje, bilanse*, Kraków 2003, s. 3–4.

gdyż jako pisarz krytycznie odnoszący się do nowego porządku nie był ulubieńcem krytyki czy gremiów przyznających nagrody literackie. Wciąż chadzał własnymi ścieżkami. W latach 90. i w ostatnim okresie twórczości, czyli po 2000 roku, publikował kolejne zbiory opowiadań (między innymi *Opowiadania uliczne* czy *Prawo prerii*) oraz powieści (między innymi *Reda* czy *Empire*). Jednak najistotniejszą częścią jego dorobku z tego ostatniego okresu pozostają utwory biograficzne, w których przywoływał wspomnienia z minionych czasów, tworząc literackie świadectwa utrwalające dawną Warszawę, jej mieszkańców, literatów tworzących i żyjących w mieście czy klimat PRL. Najważniejsze spośród tych utworów są bez wątpienia *Powidoki*, najpierw drukowane na łamach prasy, a potem wydane w trzech kolejnych tomach (w 1995, 1996 i 1998 roku). W tej długiej serii literackich miniatur Nowakowski na nowo powoływał do życia zapomniane zakamarki Warszawy, bazary, knajpy, uliczki oraz ludzi, którzy dawno odeszli. Istotne były także dwie części *Nekropolis* (2005 i 2008). Autor opisywał w nich rozmaite warszawskie lokale, w których dawniej spotykali się polscy pisarze – tym samym dał prozatorskie świadectwo specyfiki życia literackiego w PRL. W *Moim słowniku PRL* zawarł z kolei humorystyczne krótkie opowiadania odsłaniające różne aspekty i absurdy życia w dawnym systemie, a w *Syjonistach do Syjamu* opisywał wydarzenia Marca '68. W swoich ostatnich książkach, które ukazały się dwa lata przed jego śmiercią – *Piórze* i *Dzienniku podróży w przeszłość* – opisywał zaś dokładniej samego siebie, swoje życie i doświadczenia, prezentując intrygujący autoportret artysty.

Marek Nowakowski odszedł 16 maja 2014 roku. Jego dzieło zostało zamknięte. Pisał do ostatnich chwil – tworzył przez ponad pięćdziesiąt lat. Teraz, gdy twórczość pisarza ma charakter ostateczny i kompletny, można pokusić się o analizę jego drogi i wskazanie jej najważniejszych punktów. Spojrzenie na nią nieuchronnie prowadzi do wniosku, że Nowakowski do końca był wierny fundamentalnym zasadom, jakie od początku przyświecały jego prozie – zasadom prostoty języka i szczerości przekazu. Z drugiej zaś strony w jego drodze twórczej możemy wskazać kilka etapów. Warto je nazwać po imieniu.

Rozdział II

Odcienie historii, odcienie świata O twórczości Marka Nowakowskiego

I. Wędrowiec o wielu twarzach

Rozległy i zróżnicowany obszar prozatorskich dokonań Nowakowskiego wciąż czeka na swego monografa. Już teraz warto jednak wskazać niektóre aspekty domagające się opisu. Dla potrzeb niniejszego opracowania chciałbym wyróżnić cztery obszary problemowe, które tylko częściowo pokrywają się z zarysowaną wcześniej ewolucją dzieł pisarza, wszak niektóre elementy poetyki Nowakowskiego obecne są do pewnego stopnia we wszystkich jego utworach.

Po pierwsze, mamy do czynienia z Nowakowskim-realistą, pisarzem tworzącym światy „małe”, proste i wiarygodne, skoncentrowanym na tworzeniu przekazu wiernie oddającego rzeczywistość warszawskich „peryferii” lat 50. i 60. Czy ta realistyczna strategia sprawia, że utwory artysty mają wyłącznie cechy literackiego dokumentu czasu i środowiska, czy też ujawniają one sensy szersze – uniwersalne? Czy Nowakowskiemu słusznie przypięto łatkę „małego realisty”? To pierwszy krąg pytań, z którym wypadnie się zmierzyć.

Po drugie, można mówić o Nowakowskim jako kronikarzu codzienności PRL. Funkcja ta staje się najwyrazistsza w *Raporcie o stanie wojennym*, ale da się ją zauważyć i w innych utworach powstałych przed 1989 rokiem. Na ile była ona efektem celowo przyjętej postawy, a na ile wynikała w naturalny sposób z ustalonych wcześniej konwencji pisania? Jaką wartość ma dziś ów literacki obraz szczególnego momentu dziejów Polski? Oto kolejny zestaw ważnych pytań.

Po trzecie, dostrzec należy etyczny wymiar twórczości pisarza. Nowakowski wielokrotnie podejmował istotne problemy moralne i egzystencjalne, zawsze zanurzone w historycznej codzienności. Refleksja etyczna w naturalny sposób nasyciała rozmaite opisy rzeczywistości PRL, a następnie III RP, być może to ona decydowała o randze dokonań prozaika...

Nasuują się jeszcze inne pytania, gdy spojrzymy na Nowakowskiego jako autora prozy wspomnieniowej, w której autobiografia

i literackie opisy miasta składają się na unikatowe świadectwa przeszłości, a pisarz wędrujący ulicami Warszawy staje się kimś w rodzaju strażnika czasu i pamięci. To wyjątkowy aspekt późnej twórczości Nowakowskiego – stanowiący zarazem jej zwieńczenie.

2. Mały realista?

Gdy słyszymy termin „realizm” albo „literatura realistyczna”, przed oczami stają nam najpierw wybitni przedstawiciele pozytywizmu z Émile’em Zolą, Honoré de Balzakiem czy Bolesławem Prusem na czele. Myślimy o skomplikowanych i rozbudowanych powieściach, które w bardzo szczegółowy sposób ukazywały świat przedstawiony, bohaterów, wygląd wszystkiego, co ich otaczało. Szczegółowość opisu i wierność wobec rzeczywistości postrzeganej zmysłowo – zamiast wchodzenia w sferę przeżyć duchowych czy fantazji – po romantyzmie komponowały nową estetykę. Pisarze pozostawali jej wierni także w latach późniejszych, a strategia realistyczna stała się jedną z popularniejszych metod kreowania świata w dziele literackim, również w literaturze polskiej. Z czasem w niektórych kręgach wzmacniała się tendencja do jak najprostszego i najwierniejszego opisywania codziennego życia. Część pisarzy zdecydowała się na przyjęcie postawy minimalizmu poznawczego, czyli niechęci do formułowania jakichkolwiek sądów społecznych, filozoficznych i tworzenia jakichkolwiek uogólnień. W prozie polskiej tendencje behawiorystyczne w szczególny sposób uwidoczniły się w latach 60., gdy część prozaików zdecydowała się na takie sposoby kreowania swoich utworów, które czasem przybliżały je wręcz do reportażu. Koncentrowano się na ukazywaniu prostego, codziennego życia, na opisie często banalnych czynności i zdarzeń, uciekając od komentarzy i wnioskowania. Również w warstwie językowej stosowano minimum środków, opisy były oszczędne, a dialogi często stylizowano na język mówiony. Tak oto doszło do ukonstytuowania się nurtu określanego mianem „małego realizmu”. Wyjaśnijmy nazwę: małego, bo koncentrującego się wyłącznie na sprawach przyziemnych i stosującego minimalistyczną paletę środków artystycznych. Do upowszechnienia się wymienionego terminu (który miał początkowo charakter zdecydowanie pejoratywny) przyczynił się między innymi Jan Błoński, który włączył w obszar małego realizmu

prozę na przykład Kazimierza Traciewicza, Zbigniewa Łapińskiego, Andrzeja Twerdochliba i właśnie Marka Nowakowskiego¹. Opowiadanie *Ten stary złodziej* stało się przedmiotem analizy Błońskiego w jego niezwykle istotnej dla rozwoju życia literackiego w Polsce tamtego okresu książce *Zmiana warty*. Krytyk pisał o tym utworze:

Żadnego w *Tym starym złodzieju* romantyzmu, twarą tylko obojętność, tak obojętna, że przechodzi prawie w neutralność. Nowakowski zobaczył – bardzo trafnie! – świat przestępczy jako świat nudy: gesty złodzieja, które w niczym nie zmieniają rzeczywistego świata, sprowadzają go zawsze do punktu wyjścia, skazują na jałową powtarzalność. Trud, napięcie do niczego nie prowadzą: wszystko trzeba zawsze zaczynać od nowa, w monotonnej rutynie².

Krytyk dostrzegł w opowiadaniu jedynie wiwisekcję przestępczego świata, która, jego zdaniem, nie prowadziła do żadnych głębszych wniosków czy obserwacji ponad tę, że poświęcenie się złodziejskiemu fachowi przynosi nudę, rutynę i beznadzieję życia. Błoński – kontynuując swą myśl – stwierdzał, że Nowakowski opisywał świat w swoich opowiadaniach niczym entomolog, czyniąc to w sposób beznamiętny i obojętny, unikając przy tym oceniania bohaterów i prezentowania psychologii postaci. „Tak jakby składał się wyłącznie z oka, rejestrującego osobliwe obyczaje doliniarzy, paserów i klawiszów”³. Czy jednak rzeczywiście tak było? Z pewnością można się zgodzić ze stwierdzeniem, że pisarz unikał wartościowania, bo w *Tym starym złodzieju* próżno szukać umoralniającego sądu nad bohaterem. Ale czy rzeczywiście jest to tylko błahy obrazek ukazujący nieudany skok i nic więcej? Owszem, próba powrotu do złodziejskiego rzemiosła – jak się okazuje: nieudana – stanowi os fabuły. Prawdą jest też, że Nowakowski przedstawia swoich bohaterów za pomocą kilku prostych rysów i osadza ich w świecie malowanym równie grubą kreską.

Stary złodziej przymknął oczy. Policzką przywarł do chłodnej szyby. Nagle zwrócił się do Synka.

– Długo ty już siedziałeś? – zapytał.

Synek zmarszczył czoło. Zastanawiał się.

– Będzie z trójkę – odparł. Popatrzył głupawo.

– Trójkę – powtórzył stary. Zaśmiał się bezgłośnie. – U mnie już dycha – powiedział, nie przestając się uśmiechać (*Ten stary złodziej*, TSZ 27).

¹ P. Czaplinski, P. Śliwiński, *Literatura polska 1976–1998*, Kraków 1999, s. 15.

² J. Błoński, *Zmiana warty*, Warszawa 1961, s. 135.

³ Tamże, s. 130.

Czy jednak naprawdę autor nie wskazuje czytelnikowi drogi do głębszych, uniwersalnych sensów, wyłaniających się z opowiadania? Czy rzeczywiście nieudany skok jest tylko elementem monotonnego rytmu złodziejskiego fachu? A może tekst odsłania coś więcej? Może motywacje bohatera rodzą się na styku przekonania o własnej starości i pragnienia udowodnienia sobie i innym, że żąb czasu jeszcze nie nadgryzł starego człowieka na tyle, by zupełnie odebrać mu siły do działania. Na początku utworu czytamy, że złodziej niechętnie odnosi się do propozycji młodego adepta przestępczego fachu. Wyraża przekonanie, że „wypadł już z obiegu” i że podejmowanie takiej akcji nie ma w jego przypadku sensu. Później jednak zmienia zdanie, być może pod wpływem spotkania z żoną.

„Robotna – pomyślał – i charakterna... jak trafie, to ubiorę ją jak panią... Wtedy powie, że nie jestem trąba... umiem zarobić. Futrzysko kupię” – przymierzył do jej chudych opadłych ramion. Uśmiechnął się miękko. Zauważyła ten uśmiech. Rozchyliła cienkie wargi. Zakłęła i znów zacisnęła usta (*Ten stary złodziej*, TSZ 29).

Chęć zmiany statusu materialnego małżonki to jednak przecież tylko część motywacji bohatera. Ważniejsza jest chęć udowodnienia światu własnej wartości i przydatności. Stary złodziej przeżywa walkę wewnętrzną, kończącą się rozpaczliwą próbą odniesienia zwycięstwa nad czasem i przemijaniem. Przypomina ona w pewnym stopniu potyczkę bohatera opowiadania *Stary człowiek i morze* Ernesta Hemingwaya. O ile jednak amerykański pisarz wierzył w moc ludzkiego ducha zdolną poradzić sobie z największymi przeciwnościami, o tyle konkluzja Nowakowskiego jest mniej wzniosła i z pozoru pesymistyczna – działanie złodzieja kończy się porażką, on sam zaś zostaje aresztowany. Mimo to trudno przecież nie zauważyć, że nie była to klęska zupełna. Bohater po raz ostatni w życiu mógł powrócić do tego, co naprawdę kochał i w czym był dobry. Po raz ostatni mógł poczuć się jak złodziej w ferworze zdarzeń, po raz ostatni być sobą. Opowiadanie *Ten stary złodziej* nie jest tylko obrazkiem z marginesu, ale czymś więcej – opowieścią o poszukiwaniu i pragnieniu zachowania własnej tożsamości, historią o nierównej walce z rzeczywistością i przemijaniem...

Nałożono im na ręce kajdanki.

– A najgorsze – już spokojnie powiedział stary – że wpadliśmy z dowo-

dem – potem popatrzył na sino błyszczące dybki i dodał ze złością: – Nawet wysmarkać się nie można...
– Zgrywus! – rzekł jeden z milicjantów. Inni zaśmieli się (*Ten stary złodziej*, TSZ 32).

Opowiadanie, choć utrzymane w poetyce realizmu, nie stroni zatem ani od refleksji egzystencjalnej, ani od pewnej dozy romantyzmu. Usilne zamykanie go w szufladce z napisem „mały realizm” wydaje się niesprawiedliwe. To samo dotyczy innych opowiadań z wczesnego etapu twórczości Marka Nowakowskiego, zawartych w tomach *Ten stary złodziej*, *Benek Kwiaciarz* czy *Silna gorączka*. Wymieńmy dwa przykłady. *Chłop, który zmarniał* z tomu *Benek Kwiaciarz* to pozornie prosta opowiadka o złodzieju, który po odsiadce wychodzi na wolność. Opowiadanie jednak skłania do poważnej refleksji nad istotą wolności i zniewolenia, a także tego, jak dokonywane przez człowieka wybory wpływają na ludzkie życie. Główny bohater tego opowiadania po wyjściu na wolność jest witany bardzo entuzjastycznie przez swoich dawnych towarzyszy, którzy liczą, że rychło zejdzie on na przestępczą drogę i ponownie zasiądzie na dawnym tronie złodziejskiej chwały. Tak się jednak nie dzieje, bohater czuje się nieswojo w niegdyś naturalnym dla niego środowisku. Przede wszystkim zaś jest pozbawiony dawnego wigoru. Pobyt w więzieniu zmienił jego dawne przyzwyczajenia, odbierając protagoniście chęć i siłę do powrotu do dawnego życia. Podobnie jak wcześniej Nowakowski wykorzystuje scenerię tak zwanego półświatka, by zarysować horyzont refleksji egzystencjalnej.

Drugim zmiennym przykładem jest opowiadanie *Los* opublikowane w *Silnej gorączce* na początku lat 60. Narracyjną oś stanowi stylizowany na mowę potoczną, a czasem wręcz na żargon środowiskowy monolog prostego człowieka patrzącego na miasto i oddającego się wspomnieniom. Pierwszoosobowy narrator wspomina między innymi odsiadującego wyrok przyjaciela. Wydawać by się mogło, że opowieść nie zawiera głębszej myśli, w rzeczywistości jednak dzięki niej zyskujemy wgląd w umysł człowieka przewartościującego swoje życie, a zarazem próbującego odnaleźć w nim sens. Wewnętrzny monolog tej prostej postaci przybiera tym samym formę filozoficznej powiastki. Odbiorca jest wyraźnie zachęcany do skonfrontowania przemyśleń bohatera z własną refleksją...

– Taki los to... w pysk, w serce, wszędzie – szeptał monotonnie i zawzięcie.
 – Bo i co. Niby tyle różności, a nic nie ma. Gorzała, nie powiem, dobre to. Ale ciągle nie można chlać, kałdun wysiada, nery, motorek też. Więc wyskakujesz z gorzałkowania. Z babami to samo. Gnieciesz te cycki, sapiesz, drgawka cię łapie i tak możesz całą noc bez przerwy. Ale też do czasu (*Los*, SG 215).

Okazuje się, że celem Nowakowskiego nigdy nie było reporterskie portretowanie złodziei i przestępców, lecz poszukiwanie odpowiedzi na fundamentalne pytania dotyczące ludzkiej egzystencji. Dlaczego zatem wybrał jako przestrzeń do poszukiwania tych odpowiedzi właśnie środowisko ludzi będących na bakier z prawem? Pisarz wielokrotnie przyznawał, że w tym środowisku – mimo wszystkich jego wad – dostrzegał pewną autentyczność, szczerść, a zarazem jasny kodeks zasad, pozostający na antypodach tak zwanej moralności socjalistycznej...

Jak zauważał Artur Nowaczewski, dla Nowakowskiego ulica była czymś więcej niż tylko scenerią opowiadań. Ta przestrzeń w jego utworach stawała się prawdziwą agorą, na której mogły się ścierać różne postawy etyczne, a zarazem stanowiła kopalnię opowieści, które razem tworzyły nietypowy socjologiczny dokument⁴.

Z kolei Krzysztof Kosiński pisał o przestrzeniach, w których Nowakowski umieszczał swych bohaterów, jako o „laboratoriach literackich”, miejscach, w których pisarz przyglądał się człowiekowi niczym antropolog, badając jego zachowania⁵. Jednocześnie badacz ten zaznaczał, że pod powierzchnią realistycznego opisu ukrywały się rozproszony ślady metafizyki. Jak pisał:

Czasami wystarczy wyjść przed dom wieczorem, by zapalić papierosa. Taki zwyczaj mają „ten stary złodziej” i jego kumple. Zapalają papierosy, spoglądają w niebo. Ujawnia się inny wymiar ciemności. Oto z jednej strony „jarzą się” papierosy, z drugiej – migocze rozgwieżdzone niebo. Granica między powszedniością a kosmosem staje się płynna⁶.

Krytycznego spojrzenia domaga się także inny stereotyp związany z wczesną twórczością Nowakowskiego. Jego ówczesnych bohate-

⁴ A. Nowaczewski, *Szlifybruki i flâneurzy: figura ulicy w literaturze polskiej po 1918 roku*, Gdańsk 2011, s. 100.

⁵ K. Kosiński, *Pisarz akonwencjonalny. Warianty lektury twórczości Marka Nowakowskiego (wybrane przykłady)* [w:] Marek Nowakowski i inni: *oblicza realizmu w prozie polskiej XX i XXI wieku*, red. S. Buryła, J. Michalczenia, M. Urbanowski, Warszawa 2016, s. 25.

⁶ Tamże, s. 33.

rów często określa się mianem „ludzi marginesu”, odnosząc ten termin nie tylko do osób parających się działalnością przestępczą, ale szerzej – do ludzi o niskim statusie materialnym i społecznym. Współczesne dane na temat zamożności ówczesnych Polaków i ich statusu społecznego nie pozostawiają wątpliwości, że poniżej przeciętnego progu zamożności pozostawała wówczas większość obywateli kraju nad Wisłą. Czy oznacza to, że tak szeroki był wówczas „margines społeczny”? Zwrócił na to uwagę między innymi Piotr Müldner-Nieckowski, który również – jako jeden z nielicznych – przestrzegał przed używaniem terminu „mały realizm” w odniesieniu do prozy Nowakowskiego⁷.

Ten sam badacz, podobnie jak Nowaczewski i Kosiński, zauważał także wspomnianą wcześniej wielopłaszczyznowość fabuł Nowakowskiego, które pod warstwą środowiskowych obserwacji i „języka ulicy” odsłaniały uniwersalne reguły ludzkiego losu i głęboką refleksję egzystencjalną. Tylko entomolog przyglądający się ulicy? W żadnym razie. Wczesny Nowakowski to bystry obserwator, wędrowiec przemierzający Warszawę w poszukiwaniu ludzi i prawdy o nich.

3. Kronikarz PRL

Nie oznacza to oczywiście, że Marek Nowakowski był literatem filozofem, a jego utwory nie mają wartości realistycznej. Chodzi właśnie o to, że pisarz w naturalny sposób łączył realistyczną narrację i opis z ambitnymi założeniami intelektualnymi. Jego opowiadania mówiły wiele o człowieku, ale jednocześnie stanowiły świadectwo epoki, w której powstawały. Swoistą małą kronikę dnia codziennego stanowiło między innymi tytułowe opowiadanie z wczesnego tomu *Silna gorączka*, w którym razem z głównym bohaterem czytelnik przeżywał katusze z powodu choroby, a zarazem poznawał jego przyziemny żywot, sąsiadów czy codzienne zajęcia. Bohater – nieposiadający stałej pracy – marzył o poprawie statusu materialnego, ale nie był to też główny cel jego dążeń. Żył z dnia na dzień, imając się różnych, często dorywczych zajęć. Podobnie żyli jego znajomi, sąsiedzi czy dziewczyna – próbując związać koniec z końcem w Polsce u progu lat 60. Utwór ma wymowę optymistyczną, pokazuje mały

⁷ P. Müldner-Nieckowski, *Marek Nowakowski a problem „małego realizmu”*, „Topos” 2014, nr 4, s. 63–65.

heroizm zwyczajnych ludzi – wolnych od ideologii i pogoni za pieńdżem. Nowakowski potrafił jednak przedstawić także ludzi pogrążonych w marazmie właściwym czasom PRL. Tak dzieje się w *Gonitwie*:

Spokojny ranek. Terkocze budzik. Ona wstaje pierwsza. Głowa w papilotach, rozchyłony szlafrok, klapiące, rozdeptane bambosze. Otwiera drzwi, bierze butelkę z mlekiem, zapala gaz, robi kawę, kraje chleb, szykuje śniadanie. Budzi męża. Józef śpi mocno, mamroce gniewnie, nakrywa się kołdrą. Ona ściąga kołdrę. Józef zrywa się, biegnie do łazienki, bulgot wody, parskanie. Ona kraje długie przez cały chleb kromki, smaruje masłem, przekłada kiełbasą; dla niego do pracy. Mleko kipi, syczy, spadając na gaz. Kawa już gotowa [...] (*Gonitwa*, G 8–9).

Główną bohaterką jest kobieta na progu wieku średniego, żyjąca z mężem i dzieckiem w dość obskurnym mieszkaniu, w powtarzalnym rytmie zwykłych, domowych zajęć. Znużona i zirytowana obywatelską monotonią codziennej (tytułowej!) gonitwy, próbuje przekroczyć jej ciasny krąg, wdając się w romans z nauczycielem swojego syna. Nowe uczucie przynosi kobiecie chwilowe szczęście i zapomnienie, nadaje kolor życiu, ale podszyte jest goryczą rozczarowania. Od początku zawiera w sobie utopijne marzenie o egzystencjalnym spełnieniu, które nie może się ziścić w otaczającej bohaterów rzeczywistości...

Przemiana, która stopniowo dokonuje się w twórczości Nowakowskiego, oznacza zatem między innymi poszerzenie penetrowanej przestrzeni społecznej. O ile w początkach drogi twórczej pisarz poruszał się niemal wyłącznie w obszarze warszawskiego półświatka, o tyle później w jego prozie ukazany jest prawie pełny przekrój warstw społecznych PRL. Łatwo odnajdujemy teraz między innymi przedstawicieli inteligencji – architekta ze *Śmierci żółwia* (1973) czy partyjnych urzędników w *Gradzie* (1971). Panoramę społeczną – od mieszkańców wsi, przez przedstawicieli miejscowej władzy i Kościoła, aż po „miastową” inteligencję – zaprezentował też Nowakowski w *Weselu raz jeszcze!* (1974). Zróżnicowana plejada rzemieślników, urzędników i robotników pojawia się w *Chłopcu z gołębiem na głowie* (1979) – poprzestańmy na tych wyrazistych przykładach. Wraz z poszerzeniem socjosphery znacznie zwiększa się też obszar refleksji. W przywołanych utworach dostrzegamy zarówno żywe zainteresowanie Nowakowskiego życiem codziennym i ludzkim losem, jak

i kondycją państwa i społeczeństwa w systemie politycznym PRL. To poszerzenie problematyki ściśle wiąże się z celami pisarza. Jak zauważał Krzysztof Kosiński, przywołując refleksje Nowakowskiego z jego eseju *Moi pisarze* opublikowanego w książce *Karnawał i post*, prozaik szczególnie w literaturze cenił „wierność wobec opisywanego życia”, a także „przylegliwość słów do opisywanych wydarzeń”, które razem miały przyczyniać się do ukonstytuowania się „artystycznego dokumentu historii”⁸. Zdaniem Kosińskiego te wyrażenia są kluczowe dla zrozumienia specyfiki twórczości Nowakowskiego, zmierzającej zarówno do obserwacji rzeczywistości, jak i do zachowania pamięci o niej.

Jak pisali krytycy, w twórczości Nowakowskiego rozpoczął się w latach 70. nowy rozdział.

Wszyscy piszący o Nowakowskim zgodnie przyznają, że w tym właśnie czasie nastąpiła w jego twórczości ważna przemiana: rozpoczął się układ drugi – jak pisze Zbigniew Jarosiński, mając na myśli zmianę tematyki, poszerzenie perspektywy obserwacji, innego bohatera. Zasadniczą cechą tej zmiany było poszerzenie pola widzenia – penetrację środowisk podmiejsko-lumpowskich zastąpiła wtedy obserwacja ogólnospołeczna, jej obiektem stali się zwyczajni, przeciętni ludzie, szara codzienność⁹.

Warto przy tym zauważyć, że wraz z rozszerzeniem perspektywy w twórczości Nowakowskiego doszło również do wzbogacenia środków stylistycznych, za pomocą których opisywał ten nowy, szerszy rejestr bohaterów. Jak zauważają badacze, począwszy od lat 60., zaczął ewoluować język utworów pisarza, przenikała do niego terminologia biurokratyczna, propagandowa czy partyjna¹⁰. Ta przemiana języka w naturalny sposób łączyła się z ewolucją rejestru bohaterów.

W palecie środków pisarskich pojawiła się również – słabo dotąd obecna – ironia. To dzięki niej pisarz odsłaniał absurd peerelowskiej rzeczywistości, nie narażając się przy tym na ingerencję cenzury.

⁸ K. Kosiński, *Pisarz akonwencjonalny...*, s. 22.

⁹ J. Galant, *Ani summa, ani całość. Kilka uwag o „Weselu raz jeszcze!” Marka Nowakowskiego i o realizmie [w:] Marek Nowakowski i inni...*, s. 73.

¹⁰ K. Kosiński, *Wiwisekcja powszedniości: studium wczesnej twórczości Marka Nowakowskiego*, Warszawa 2014, s. 507.

Finezyjną grę siermiężnego realizmu i ukrytej ironii odnajdujemy między innymi we wspomnianym opowiadaniu *Grad* (M). Fabuła utworu skonstruowana jest wokół działań pary ostro skontrastowanych bohaterów. Poznajemy skromnego i czytanego pracownika domu kultury Śnitkę i kierownika tegoż domu, tytułowego Grada. Kierownik, w przeciwieństwie do Śnitki, nie został wyposażony we wrażliwość na piękno ani przez naturę, ani przez środowisko, ani nawet przez system edukacyjny. Wydaje się typowym przedstawicielem tej części partyjnej nomenklatury, do której Stefan Kisielewski stosował popularne określenie „dyktatura ciemniaków”. Akcja utworu konsekwentnie zmierza do zdemaskowania „troglodyckiej” natury dyrektora. Punktem węzłowym staje się wizyta cenionego profesora, zaproszonego do domu kultury przez Śnitkę. Grad dba o „należyte zabezpieczenie” wydarzenia, sprasząc odpowiednio liczną grupę gości, niekoniecznie zainteresowanych sztuką. Po wszystkim udaje się zaś ze Śnitką i profesorem na wódkę. Dochodzi do wniosku, iż zarówno gość, jak i jego podwładny ignorują jego starania, oddając się intelektualnej dyspacie. Ostatecznie Grad przejmuje kontrolę nad sytuacją, zaznaczając swoją przewagę nad Śnitką wynikającą ze stanowiska. Tym samym sprawdza wszystkich do swojego poziomu:

I gdy wrócił Jarosław Śnitko z wódką, inna to już była rozmowa. Perorował Franek Grad i różne swoje przygody opowiadał, po wyczerpaniu tego tematu przeszedł do kawałów o kobietach i księżach, a co pewien czas, nie patrząc na Śnitkę, rzucał krótkie polecenie: – Polewaj! – Jarosław Śnitko napępiał kieliszki (M 63).

Nowakowski, niczym Sławomir Mrożek w swoim *Tangu*, demaskuje wpisany w system władzy w PRL dyktat prostaków nad inteligentami, odsłania zarówno pozorną „ogładę” tych pierwszych, jak i mechanizmy, które sprawiają, że właśnie takim ludziom umożliwiano w systemie totalitarnym dominację nad ludźmi wrażliwymi i lepiej wykształconymi oraz tłumienie ich zdolności i kreatywności.

Przywołajmy też utwór *Kiedy ranne wstają zorze...* (GJDW, 1974). Fabuła tego opowiadania to historia zakładowego wyjazdu na grzybobranie. Okazuje się, że odgórnie sterowany wyjazd integracyjny i relaksacyjny pracowników staje się dla nich smutnym, rutynowym obowiązkiem. Po raz kolejny Nowakowski demaskuje „utopię u wła-

dzy”, obnaża pańsko-poddańcze stosunki, panujące w socjalistycznej rzeczywistości – wykrzywiające, a nawet uniemożliwiające autentyczne międzyludzkie relacje:

W ostatniej grupie ruszył w las Dyrektor. Szedł z nim główny konstruktor z żoną, kierownik rachuby, kadrowiec i inżynier Dopierała. A nieco z tyłu nieśmiały Prawiczek. Inżynier Dopierała zapewne tylko ze względu na Dyrektora. Grzybami raczej się nie interesował. W ogóle niewielką miał ochotę na tę niedzielną wycieczkę. Ale skoro Dyrektor... Więc zdecydował (GJDW 15).

Nie chodzi tu autorowi wyłącznie o literacki portret przestrzeni i zdarzeń, ale przede wszystkim o metaforę marazmu i absurdu egzystencji w świecie, w którym wypaczone zostały reguły komunikacji, wartości się rozpadły, a jedynym ukojeniem bólu istnienia staje się wódka... Prosty rys bohaterów i sytuacyjny humor pozwoliły pokazać zjawisko w sposób i lekki, i przerażający w swej groteskowości.

Widzimy więc, że obserwacje społeczne Nowakowskiego w tym okresie odnosiły się do ogólnego kryzysu wartości w PRL. Jak zwracała uwagę Dorota Heck, w opowiadaniach z lat 70. i 80. pisarz starał się ukazywać przede wszystkim regres kultury duchowej. Zarazem, jej zdaniem, dla bohaterów Nowakowskiego wyznacznikiem godności, o którą walczyli, były próby zachowania autentyczności w owym zepsutym świecie¹¹.

Ironiczno-humorystyczna stylistyka utworów pisarza pozwalała mu toczyć zwycięski bój z cenzorami, co jednak nie oznacza, że uszedł on z tej potyczki bez szwanku. W latach 70. Nowakowskiego zaczęła obserwować Służba Bezpieczeństwa, która dokładnie prześwietlała wszelkie związane z jego nazwiskiem publikacje i materiały. Podstawą do takich działań były dla SB naturalnie utwory publikowane w tamtym okresie. Opowiadanie z 1972 roku *Siedem czerwonych róż* określono jako tekst stanowiący zagrożenie dla podstaw ustroju PRL. „Konstrukcja utworu M. Nowakowskiego oparta jest na pozornie niekontrolowanym strumieniu wypowiedzi i dlatego tym dobitniej akcentowane są aluzje polityczne, które raz po raz pojawiają się na planie pierwszym, a wszystko inne jest tylko

¹¹ D. Heck, *Antropologia literacka Marka Nowakowskiego* [w:] Marek Nowakowski i inni..., s. 71.

tleń maskującym przemycane pointy”¹² – pisał funkcjonariusz perelowskiego Ministerstwa Spraw Wewnętrznych o tym utworze.

Najistotniejszym tekstem, którzy przyczynił się do tego, że Nowakowski stał się „etatowym” celem bezpieki, okazało się *Wesele raz jeszcze!* W analizie utworu, zanotowanej przez tajnego współpracownika (TW) o pseudonimie Stanisław można było przeczytać:

Sojusz Komendanta z Prezesem to nic innego jak policyjno-paskarski model administracyjny. Nikt i nic się nie przebije przez skumplowaną władzę. Sytuacja ogólna, równia pochyła, gorzała i koniec. [...] Stosunek do władzy i rzeczywistości mniej więcej zrównany ze stosunkiem do okupanta. [...] Pełna negacja jest nadal modna! I dlatego opowiadanie jest tak paskudne i wredne¹³.

Fakt objęcia Nowakowskiego stałym nadzorem Służby Bezpieczeństwa świadczy o przenikliwości analiz pisarza. Tak żywa reakcja organów aparatu bezpieczeństwa PRL jest dowodem na to, jak wnikliwe były diagnozy ówczesnego świata tworzone przez prozaika – odkłamujące rzeczywistość PRL, wyposażone w prawdę dla władzy niewygodną, a więc taką, o której wyciszenie władza musiała zabiegać.

Powiedzieliśmy już wcześniej, że pod koniec lat 70. prozę Nowakowskiego objęto zakazem druku. To jednak nie powstrzymało pisarza przed walką z propagandowym kłamstwem. Paradoksalnie, w sytuacji jeszcze większego ucisku nie tylko nie zamilkł, ale zrezygnował z „mowy nie wprost” na rzecz strategii na poły reporterskiej. Na początku lat 80. na łamach „Kultury” zaczął bowiem publikować *Raport ze stanu wojennego*. Utwór ten nie jest zbiorem rozproszonych opowiadań, ale jednolitą tematycznie mozaiką kilkudziesięciu bardzo krótkich tekstów, z których każdy w rozmaity sposób odnosił się do czasu stanu wojennego. Nowakowski w swojej książce pomieścił zapiski mocno zróżnicowane. Znalazła się tu relacja taksówkarza wożącego pasażerów po mieście owładniętym chaosem i niepewnością w pierwszych dniach po wprowadzeniu stanu wojennego. Pojawiło się żartobliwe opowiadanie *Kanarek*, w którym kobieta rozmawiająca przez telefon o rzeczywistym kanarku zostaje uznana przez operatora podsłuchującego i kontro-

¹² P. Gontarczyk, *Ćwierć wieku kłopotów z Nowakowskim*, „Rzeczpospolita” 2007, nr 65, s. A8–A11.

¹³ Tamże.

lującego rozmowę za konspiratorkę posługującą się szyfrem. A wreszcie i *quasi*-reportaż pokazujący, jak milicja traktuje protestujących ludzi. Mozaikowość pojawiała się zatem także na planie jakości estetycznych – od humoru po tragizm, od ironii po groteskę. Stąd rozmaite odczucia czytelników – śmiech, przerażenie, współczucie, groza. Krytycy widzieli w *Raporcie...* kronikę tamtych dramatycznych wydarzeń oraz symboliczny testament społeczeństwa postawionego wobec prawdziwej agresji i terroru władzy. Właśnie wychylenie utworu ku wspólnocie cierpiących rodaków przyczyniło się do tego, że *Raport o stanie wojennym* odczytano nie tylko jako literaturę, ale także jako manifest prawdy. Tym istotniejszy i wyjątkowy, że powstały w czasie na wskroś niesprzyjającym ujawnianiu szczerych relacji o przemocy. Cóż mógł jednak w tej sytuacji począć pisarz, którego misją od dawna było mówienie prawdy o PRL?

4. Literatura moralnego niepokoju

W historii polskiej kinematografii funkcjonuje termin „kino moralnego niepokoju”. Odnosi się on do nurtu, który rozwijał się w drugiej połowie lat 70. i w pierwszej połowie lat 80. za sprawą takich filmów, jak na przykład *Amator* Krzysztofa Kieślowskiego, *Wodzirej* Feliksa Falka czy *Barwy ochronne* Krzysztofa Zanussiego. Ich fabuła była osadzona w realiach PRL – często w małych miastach. Losy zwykłych ludzi stawały się jednak nie tyle wartością samą w sobie, ile raczej okazją do ukazania ważnych uniwersalnych dylematów moralnych. Zdarzało się, że bohaterem stawał się idealista, zbuntowany przeciwko skorumpowanemu aparatowi władzy i ponoszący porażkę (taki los spotkał młodego inteligenta w *Barwach ochronnych*). Kiedy indziej ukazywano, jak bohater wspinający się na kolejne stopnie kariery ulega demoralizacji (tak stało się choćby z tytułowym *Wodzirejem*, który uciekał się do oszustw i zdrady, aby zająć jeszcze wyżej). Wszystko to jest bardzo bliskie prozie Marka Nowakowskiego powstającej w tym samym okresie. W *Śmierci żółwia* Nowakowski zaprezentował bohatera przynależącego do kręgów inteligenckich – architekta, który zostaje niesłusznie oskarżony o zamordowanie tytułowego zwierzęcia. Późniejsze wydarzenia, w pewnej mierze groteskowe, to nierówna batalia bohatera z aparatem urzędniczym i wypaczonym wymiarem

sprawiedliwości, co ostatecznie doprowadza do skazania niewinnej jednostki na społeczny ostracyzm i stłamszenia jej. Scenerią wydarzeń pozostaje mieszkanie bohatera, jego osiedle i biuro Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami. Oprócz architekta występują tu jego żona i syn, sąsiedzi oraz państwowi urzędnicy. Ograniczenie przestrzeni i liczby bohaterów skutkuje skondensowaniem fabuły do niezbędnego minimum, które wystarcza, by pokazać złożone problemy etyczne, a jednocześnie pozwala zwielokrotnić napięcie i przyspieszyć tempo akcji. Ostateczny efekt to rodzaj dramatycznego apogeum w postaci przejmującej i gorzkiej porażki bohatera.

Opowiadań, w których pisarz podejmuje ważne moralne zagadnienia, jest naprawdę wiele. Wystarczy przywołać kilka przykładów. Jeden z nich to tytułowy utwór ze zbioru *Wilki podchodzą ze wszystkich stron*. Scena szaleńczej walki klientów sklepu o nowe, a trudno dostępne towary staje się metaforą zdziczenia obyczajów społecznych. Obserwujemy stado kierujące się „prawami dżungli” – pozbawione wrażliwości i troski o słabszych. Innym przykładem może być *Skorpion* (ŚŻ) – opowiadanie przedstawiające historię chłopaka bez powodu pchniętego nożem, a zarazem obraz jego oprawcy, który – choć schwytany i skazany – nie okazuje ani odrobiny skruchy.

Najpełniejszym manifestem troski pisarza o kształt polskiego etosu – jak zgodnie orzekli krytycy – jest *Wesele raz jeszcze!* Wielu znawców dowodzi, że pisarzowi – podobnie jak niegdyś Stanisławowi Wyspiańskiemu – udało się ukazać panoramę społeczeństwa epoki gierkowskiej. Ci są zdania, że utwór jest jednym z najważniejszych opowiadań realistycznych w polskiej prozie lat 70. Jak zawsze u Nowakowskiego plan fabularny nie jest skomplikowany. Akcja rozgrywa się podczas wesela blisko czterdziestoletniego bawidamka, który po latach hulaszczego życia postanowił się usatkwować, a jego wybranką okazała się prosta, wiejska dziewczyna. Specyficzny mezalians miejskiego zawadiaki i dziewczyny z prowincji sprawił, że przy weselnych stołach zasiedli goście z różnych stron, o różnych charakterach i biografiami. W toku narracji, niestannie przenoszącej się od jednego gościa do drugiego, poznajemy miejscowego plebana, wiejskich chłopów, przyjaciół pana młodego z wielkiego miasta, miejscowych policjantów czy byłego żołnierza.

Szybko orientujemy się, co łączy bohaterów – niezależnie od pochodzenia, wykształcenia czy majątku. Nie bez przygnębienia stwierdzamy, że są to rozmaite przywary – głupota, chciwość, prostactwo czy oportunizm. Rozpływająca się w oparach alkoholu narracja odtwarza rytm weselnego bezładu, który na wyższym planie sensów można odczytywać jako symbol chaosu społecznego i rozpadu więzi wspólnotowych – zarówno w mieście, jak i na wsi. Ton satyry Nowakowskiego był równie groźny i ostrzegawczy jak w przypadku *Wesela* powstałego przeszło siedemdziesiąt lat wcześniej. Dowiadujemy się, że społeczeństwo, wyniszczone przez system i polityczny ucisk, znajduje się w stanie moralnego rozkładu.

Gospodarz poszeptywał z żoną. Wstali oboje. Skinął na Hrabiego. I we trójkę od stołu wstali. Za nimi Panna Młoda zaraz.

W tej izbie przygotowanej na poślubną noc dla młodych zamknęli się na klucz. Gospodyni pieniądze, co na wianek zebrali, z ukrycia wyciągnęła. Liczyć zaczęli. Ślinili palce i przeliczali. W równy stosik papierki złożyli. Hrabiemu zaświeciły się oczy jak latarki. A sumę dobrze zakarbował sobie w pamięci. Dłonie wsunął do kieszeni i zamyślił się, pogwizdując cichutko.

Panna Młoda pochylona nad łóżkiem na powrót zawinięte w chustkę pieniądze wpychała. Hrabia wpatrzył się w jej zad i nawet chęć gorąca do niej go naszła (WRJ 27).

Trudno nie zauważyć, że etyczne przesłanie prozy Nowakowskiego nigdy nie jest wyrażone *expressis verbis*, lecz wpisane w poetykę ironii i satyry. Czytelnik obserwuje sceny rysowane przez obiektywistycznego narratora, który subtelnie profiluje aksjologiczne nacechowanie postaci i scen, nie pozbawiając czytelnika przyjemności samodzielnego oceniania bohaterów i ich postawy. Diagnozy społeczne były więc podawane przez Nowakowskiego w sposób subtelny, do czego przyczynił się jego kronikarski styl narracji integralnie łączący się z proponowaną przezeń refleksją aksjologiczną. Jak pisał Jacek Podgórski, charakterystyczną cechą tej prozy jest „jednoczesność myśli i dziania się”, co oznacza, że opowiadania Nowakowskiego są pozbawione zbędnych elementów fantazjowania, są żywym zapisem akcji i reakcji¹⁴.

Warto także podkreślić fakt, że autor nie przestał troszczyć się o etos Polaków także wtedy, gdy euforia odzyskanej niepodległości

¹⁴ J. Podgórski, *Jeszcze o „peryferyjnym realizmie” Marka Nowakowskiego. Perspektywy: geograficzna, aksjologiczna i społeczna* [w:] Marek Nowakowski i inni..., s. 94.

zdawała się unieważniać wybory moralne. Na początku lat 90. w nietypowych warunkach stopniowej demokratyzacji życia publicznego i rodzącego się kapitalizmu Nowakowski nie przestał zwracać uwagi na zagrożenia moralnej kondycji wspólnoty. W opowiadaniach powstałych w tamtym okresie – zawartych przede wszystkim w zbiorach *Homo Polonicus*, *Grecki bożek* czy *Honolulu*, ale także w opowiadaniach powstających w latach późniejszych – pisarz starał się zwrócić uwagę na podejrzane źródła rodzimego biznesu, obnażał też pułapki konsumpcjonizmu. We wspomnianej noweli *Homo Polonicus* autor ukazał jeden dzień z życia typowego polskiego nuworysza, który zbił majątek we wczesnych latach 90. dzięki handlowi towarami sprowadzanymi nie do końca legalnie zza granicy, w tym papierosami i alkoholem. Stasiu Bombiak to mężczyzna mniej więcej czterdziestoletni. Pojawiają się pierwsze oznaki kryzysu wieku średniego, lecz Stasiu wciąż wydaje się zwa- wym przedstawicielem rodzącej się polskiej klasy średniej. Niepodobna odmówić mu sprytu i przebiegłości, które pozwalały mu prowadzić interesy z towarzyszami zza wschodniej i zachodniej granicy oraz dorobić się majątku zapewniającego życiową stabilizację. Wymowny wydaje się początek opowiadania, prezentujący niełatwe przebudzenie bohatera.

Zbudził go przenikliwy skrzek. Jebane papugi! Ulubienice Margot. Coś egzotycznego. Coś oryginalnego, co pozwoli oderwać się od tej pospolitości i monotonii. [...] Kolorowo upierzone to paskudztwo, zupełnie niepodobne do naszych ptaków. Szkaradnie skrzeczały. Jakby ktoś darł prześcieradło. Jakby przeciągał drutem po szkle.

Stasiu Bombiak podniósł ciężką jak ołów głowę i zapatrzył się ponuro na dwa straszydła skaczące po prętach klatki. Kolorowe, ale brzydkie jakies. [...]

Głupota. Tak mieszać. Nie można było inaczej. Jurgen terminowo wywiązuje się ze swoich zobowiązań. Dwa kontenery, tak jak obiecał. [...] Dobry towar. Papierosy puści w obieg po konkurencyjnych cenach i hurtownicy rozbiorą migiem [...].

Stasiu Bombiak uśmiechnął się pierwszy raz po przebudzeniu i ten uśmiech rozjaśnił jego bulwiastą, nalaną twarz nizinnego Słowianina, który zaczął tyć przedwcześnie (CiM 5–7).

Ów początek dnia Bombiaka to zarazem symboliczne przebudzenie się III RP w nowym świecie – przebudzenie, które pchnęło społeczeństwo ku szybkim karierom i pieniądzom, zdobywanym jak

w PRL – dzięki cwaniactwu i oportunizmowi, nierzadko z pogwałceniem podstawowych reguł moralnych. Czytelnik towarzyszący bohaterowi w jego codziennych obowiązkach szybko dowiadywał się, że składały się na nie kontakty z szemranymi typami, najczęściej z Rosji, byłym ubekiem, obecnie wykonującym dla Bombiaka zlecenia związane z „ochroną”, czy jeżdżenie po mieście i handlowanie towarami niejasnego pochodzenia. W wolnych chwilach bohater korzystał z życia, namiętnie oddając się konsumpcji wyrobów alkoholowych czy kupowaniu i zbieraniu kolejnych przedmiotów do swojego i tak pełnego przepychu domu. Nowakowski piętrzy kolejne elementy portretu Bombiaka, jakby mimochodem pytał, czy to rzeczywiście może dać szczęście.

Satyryczna, a jednocześnie ponura diagnoza nowej Polski zawarta była też w opowiadaniach z tomu *Grecki bożek*. Na uwagę zasługuje tu przede wszystkim *Trzech z planem Marshalla*. Pisarz relacjonuje przypadki trzech zagranicznych biznesmenów, którzy mieli zainwestować ogromne pieniądze w podupadający polski zakład. Już tytuł tego opowiadania zwiastuje gorzką ironię. Rzeczywiście, tytułowi „zbawiciele” polskiego przemysłu – oprowadzani po mieście przez mężczyznę, który w imieniu władz zakładu miał ich ugościć – oddają się kilkudniowemu pijaństwu przeplatanemu uciechami cielesnymi z udziałem prostytutek. Po kilku dniach prawdziwej sodomy i gomory okazują się hochsztaplerami, którzy pieniądze co prawda kiedyś mieli, ale dawno je stracili na skutek licznych malwersacji, a obecnie jako bankruci wykorzystują jedynie łatwowierność mieszkańców dawnego bloku wschodniego, by trochę pożyć na ich koszt. Nowakowski kpi z powszechnej wówczas w Polsce naiwnej wiary w zbawczą moc zachodniego kapitału i wyśmiewa nabozne traktowanie wszystkiego, co pochodziło spoza dawnej żelaznej kurtyny, tak charakterystyczne dla Polski początku lat 90.

Do tematu szybko rodzących się karier, galopującego kapitalizmu i związanej z nim moralnej zgnilizny pisarz wraca wielokrotnie, choćby w utworze *W sobotę* (OU). Wpływ dawnego świata i jego głównych bohaterów na nową rzeczywistość ukazany został na przykład w *Lustracji* (PP). W opowiadaniu widzimy, jak były funkcjonariusz SB wykorzystuje dawną wiedzę operacyjną, by umożliwić sobie wygodne gniazdko jako właściciel sklepu w pasażu handlo-

wym. Oba te aspekty przenikają się w tytułowym opowiadaniu z tomu *Nul* (2004). Prostacki biznesmen i prezes firmy funkcjonującej na dość podejrzanych zasadach niczym kukielkami manipuluje swoim asystentem i swoją sekretarką. Przede wszystkim jednak rozpaczliwie trzyma się zdobytych bogactwa i pozycji, dla których zagrożeniem staje się tytułowy Nul – dawny znajomy głównego bohatera, dziś kloszard, a zarazem ktoś, kto zna prawdę o początkach działalności prezesa, któremu w dorobieniu się na przełomie lat 80. i 90. pomogła mafia. By uciszyć niewygodnego świadka swej przeszłości, prezes decyduje się wynająć płatnego mordercę...

Widzimy więc, że krytyka transformacji ustrojowej, jak też związanych z nią postaw zajmowała istotne miejsce w późniejszej twórczości Marka Nowakowskiego. Jak stwierdzał Artur Nowaczewski, nierzadko łączyła się też ona z obserwacją przestrzeni, w tym przypadku Warszawy, której pejzaż społeczny ulegał nieuniknionym przemianom. W późnych opowiadaniach Nowakowskiego możemy, zdaniem tego badacza, dostrzec specyficzną tęsknotę za przeszłością, w tym za dawnym „typem warszawskim”, który w latach 90. ustępował miejsca rodzajnym się oportunistom¹⁵.

5. Wędrowiec i literatura pamięci

Ostatni etap twórczości Marka Nowakowskiego wypełnia proza wspomnieniowa. Pisarz stworzył w połowie lat 90. *Powidoki*, początkowo drukowane w prasie, dopiero potem wydane w zbiorze kilkudziesięciu krótkich tekstów o niewyraźnej kwalifikacji gatunkowej. Po raz pierwszy w swojej prozie tak jednoznacznie zerwał z fikcją literacką. Odtąd w jego prozie królował żywioł autobiograficzny. Osobiste wspomnienia przybierały formę rodzajowych obrazków, w których wigor odzyskiwali dawni mieszkańcy Warszawy, odżywały dawne zdarzenia, koloru nabierały opuszczone miejsca. Nowakowski tworzył kalejdoskop powidoków, cieni przeszłości, które zostały na chwilę przywrócone do życia. Na pierwszy tom *Powidoków* złożyło się przeszło siedemdziesiąt krótkich opowiadań-obrazków, z których każde stanowi niezależną całość i odsłania inny aspekt dawnej Warszawy – tej z lat 40., 50., 60. Na kartach książki spotkać można kupców z Bazaru Różyckiego, bokserów, których walki odby-

¹⁵ A. Nowaczewski, *Szlifybruki i flâneurzy...*, s. 105.

wały się w zapomnianej Hali Gwardii, czy bywalców warszawskich knajp i lokali. Obrazy składają się na mozaikę niedawnych dziejów miasta, przywołują Warszawę skrytą pod powiekami jej najstarszych mieszkańców.

Trzy tomy *Powidoków* nie były wszakże jednorazowym eksperymentem. Zapowiadały nowy, ostatni rozdział na twórczej drodze Nowakowskiego. Kilka lat później powstały dwie części *Nekropolis*, w których wraz z narratorem, starzejącym się warszawskim literatem, czytelnik przemierzał kolejne warszawskie ulice, natrafiał na miejsca, w których niegdyś mieściły się lokale stanowiące miejsce spotkań przedstawicieli literackiego świata, i wraz z Nowakowskim oddawał się wspomnieniu o tym minionym świecie.

Od Literatów szło się zazwyczaj do Poziomki na rogu Krakowskiego Przedmieścia i Miodowej. Poziomka zachowała się w niezmiennym charakterze. Mroczne wnętrza. Nawet w najbardziej jasny słoneczny dzień panuje tu półmrok. Nieruchome sylwetki majaczą zza okna. Połyskuje kontuar wysokiego baru. Nikłe refleksy światła odbijają się w szkle na półkach. Widok taki sam, jak przed kilkudziesięciu laty (NE 33).

Wprowadzenie przez pisarza perspektywy wędrowca piechura, którego pamięć uruchamiana jest przez kolejne elementy dostrzeżonej przestrzeni, okazało się zabiegiem tyleż prostym, co literacko owocnym. To właśnie narrator spaja swą osobą cały tekst, który dzięki niemu zyskuje status wyższy niż zbiór anegdotek i wspomnień: nabiera cech dziennika podróży, zabarwia nostalgiczną refleksją. To dzięki niemu przesłanie utworu jest uniwersalne. Zaczynamy rozumieć, że autor-narrator uwikłany jest w dramatyczną, skazaną na porażkę walkę z czasem...

Jak pisał o tej strategii pisarskiej Nowakowskiego Wojciech Kudyba:

Warto przede wszystkim podkreślić podkreślaną przez pisarza symbiozę ruchu w przestrzeni i w czasie. Wędrowka ulicami miasta jest dla bohatera i narratora omawianej autobiograficznej prozy zarazem wyprawą w głąb tego, co minione. Opowieść wpisuje się w figurę drogi, przemierzanie się w przestrzeni staje się rytuałem przywoływania wspomnień¹⁶.

Kluczową cechą późnych zbiorów Nowakowskiego, takich jak *Powidoki* czy *Nekropolis*, jest więc ruch, rozumiany dwojako. Z jednej

¹⁶ W. Kudyba, *Miejsce i pamięć w późnej twórczości Marka Nowakowskiego. Prolegomena*, „Colloquia Litteraria” 2015, nr 2, s. 120.

strony jako ruch dosłowny, przemierzanie przestrzeni przez narratora, a z drugiej jako nieuchronny ruch czasu zmuszającego wędrowca do podjęcia wyzwania przywołania pamięci, ponownego ożywienia wspomnień, wracania do znanych mu ludzi i miejsc.

Warto w tym miejscu zastanowić się, jaki właściwie cel przyświeca wędrowcowi. Dlaczego zależy mu na przywołaniu i zachowaniu pamięci o dawnej Warszawie?

Jak zauważył Pierre Nora, potrzeba zachowania pamięci staje się dla nas – ludzi współczesności – tym większa, im większe jest „przyspieszenie historii”¹⁷. Pisał on, że współczesny człowiek odczuwa coraz szybsze ześlizgiwanie się teraźniejszości w przeszłość historyczną. To wywołuje przeświadczenie, że wszystko, co było dawniej, może bezpowrotnie zniknąć. Ta obserwacja Nory idealnie koresponduje z refleksjami Nowakowskiego, jakimi dzielił się podczas pisania *Powidoków*. Jak przyznawał w jednym z wywiadów:

Cykl nosi tytuł *Powidoki*. Chcę w nim ocalić to, co zostało właśnie po widoku pewnych typowo warszawskich miejsc, takich jak np. kamienice na rogu Alei Jerozolimskich i Marszałkowskiej czy stary „Bar pod Setką” na Marszałkowskiej w pobliżu Widok. [...] w dzisiejszych czasach tworzącego się neokapitalizmu, w gorączce szukania pieniędzy zapomina się, że przeszłość jest dla życia społecznego ważnym fundamentem¹⁸.

W tym wyznaniu znów dostrzegamy dystans autora wobec współczesności, rodzącego się kapitalizmu i nowoczesności wypierających wartości i pamięć o przeszłości. Podjęcie wyzwania stworzenia literackiego obrazu Warszawy stanowi więc akt obrony przed zapomnieniem. Akt ten odbywa się, jak pisał Nowaczewski, na drodze procesu „inwentaryzacji” warszawskich ulic. Proces ten, zdaniem badacza, ma być środkiem do zbudowania całościowego obrazu rzeczywistości, a *Powidoki* czy *Nekropolis* mają nosić znamiona szkicu fizjologicznego¹⁹. Mówiąc o tym literackim projekcie Nowakowskiego, należy jednak pamiętać, że pisarz nie tworzył monumentalnego eposu o Warszawie; jego narracje miały charakter kronikarski, ale zarazem zindywidualizowany, zawierały w sobie różne rodzaje pamięci.

¹⁷ P. Nora, *Między pamięcią a historią: lieux de memoire*, tłum. M. Borowski, M. Sugiera, „Didaskalia” 2011, nr 105, s. 4.

¹⁸ *Przedmieścia to duża szansa. Rozmowa z Markiem Nowakowskim*, rozmawiał S. Jurkowski, „Życie Codzienne” 1993, nr 4, s. 10.

¹⁹ A. Nowaczewski, *Szlifbruki i flâneurzy...*, s. 104.

Zarówno w *Powidokach*, jak i w *Nekropolis* obserwujemy kilka modeli wspomnienia. Możemy mówić, że oba zbiory wypełniają przeplatające się ze sobą: pamięć archeologiczna, pamięć autobiograficzna oraz pamięć nostalgiczna. Bywa, że autor przyjmuje postawę archeologa, którego celem jest skrupulatne wydobywanie, zebranie, zachowanie i przekazanie świadectw o przeszłości. Kilkadziesiąt obrazków z *Powidoków* i szereg opisów literackich knajp z *Nekropolis* to w istocie pewnego rodzaju archiwum pamiątek wydobytych z głębi miasta. Narrator oddaje się wspomnieniu po to, by w pamięci kolejnych pokoleń mógł utrwalić się obraz życia literackiego PRL. Pisarz „archeolog” odkopuje zapomniane warstwy dawnej Warszawy i układa dawny tekst miasta, scalając odpryski wspomnień, które dopiero zebrane razem, składają się na szerszy obraz. To nie przypadek, że generatorem wspomnień w *Nekropolis* i *Powidokach* często są drobne przedmioty...

Jak zauważali interpretatorzy prozy Nowakowskiego, w tych zbiorach wędrówka pozwala wniknąć w tkankę miasta, w jego architekturę, pejzaż i ludzi, a te wszystkie elementy, dzięki pracy pamięci, mogą zostać przechowane, ocalone przed zniszczeniem i zapomnieniem²⁰. Tym samym narracja *Powidoków* czy *Nekropolis* nabiera charakteru literackiej rezurekcji. Narrator niczym Guślarz z *Dziadów* dokonuje obrzędu przywołania duchów przeszłości, tu poprzez wędrówkę i wspomnienie. Tym samym Nowakowski za sprawą swojej literackiej „archeologii” przyczynia się do kształtowania się pamięci kulturowej. Jak zauważała Dorota Heck, proza ta potwierdza obserwacje Wolfganga Isera dotyczące istoty literatury, która wchłania całość ludzkiej przeszłości, a proces pisania o tejże przeszłości skutkuje powołaniem do życia trwałego obrazu pamięci²¹. Właśnie rezurekcji pamięci.

Na nieco inny aspekt memoratywny wskazuje pojęcie „pamięci autobiograficznej”. W omawianych utworach zauważamy także wysiłki autora, by opowiedzieć nie tylko miasto, ale i pewną część własnego życia, a więc, w jakimś sensie, opowiedzieć samego siebie. Wspominanie ma tu zupełnie inny wymiar, staje się podróżą we-

²⁰ W. Kudyba, *Miejsce i pamięć...*, s. 124.

²¹ D. Heck, *Antropologia literacka...*, s. 59.

wnętrzną, sposobem poznawania samego siebie, układania własnej historii w spójną i sensowną całość, a jednocześnie niełatwym zmaganiem się z przemijaniem i nieuchronnym odchodzeniem ukochanego świata w niebyt.

Warto przy tym pamiętać, że miejsca pamięci pojawiające się w tej prozie – zaułki, ulice, restauracje – zawsze są związane z jednostką i jej pamięcią biograficzną. Nowakowski powraca do miejsc mu bliskich, ożywia przestrzenie, z którymi z jakiegoś względu łączy go pewna więź. Nie jest to więc sucha, pozbawiona emocji kronika, ale mimowolna autobiografia, na co zwracali uwagę komentatorzy, jak Jerzy Madejski, który opisując *Nekropolis*, stwierdzał, że Nowakowski, pisząc o innych, *de facto* pisał o sobie samym, odmalowując atmosferę, z jakiej wypływała jego twórczość, i hierarchizując swoje dokonania²².

Wspomnianym tomom nie brakuje też elementu nieuchronnych porównań minionego z dzisiejszym, nie brakuje nostalgii za dawnym. Ze zdumieniem zauważamy, że ta ma wymiar nie tyle emocjonalny, ile raczej aksjologiczny. Służy deprecjacji tego, co nie zawsze można uznać za korzystny element rozwoju Warszawy. Zestawienie pamiętanych budynków i ich funkcji z obecną sytuacją urbanistyczną przynosi bilans, który u Nowakowskiego zazwyczaj wypada na niekorzyść współczesności. Jak zauważa krytyk:

Przedmiotem szczególnej uwagi, a nawet czułości pisarza stają się bowiem te elementy przeszłości, które – w jakimś sensie – stały się ofiarami agresywnego kapitalizmu i gwałtownych procesów modernizacyjnych. [...] Chciałoby się też powiedzieć, że niczym archiwista z nie małym trudem rejestruje on ostatnie przejawy tego, co odchodzi w zapomnienie: opisuje przedmioty, domy, krajobrazy, a także zawody, a więc i typy ludzkie, które proces rozwoju cywilizacji zmiotł z miejskiej scenarii niczym uwiędłe liście²³.

Jak podkreśla autor *Nekropolis*, przestrzenie nowoczesne uderzają swą przewidywalnością i anonimowością. W przeciwieństwie do dawnych budynków Warszawy nie doprowadzają do powstania żadnych więzi, nie mają związku z żadną ludzką wspólnotą – choćby taką nawet jak dawne knajpy, w których gromadzili się złodzieje, literaci czy zwykli mieszkańcy. W Warszawie ponowoczesnej pisarz

²² J. Madejski, *Upiliśmy się serdecznie*, „Nowe Książki” 2006, nr 4, s. 35.

²³ W. Kudyba, *Miejsce i pamięć...*, s.126–127.

słusznie dostrzega procesy atomizacji, skazujące ludzi na anonimowość i społeczne oddalenie. Obserwując, jak z wolna w jej miejskim organizmie coraz bardziej panoszą się nie-miejsca (określenie Marca Augégo), z nostalgią wspomina zniszczone obszary, które były źródłem więzi społecznych i tożsamościowych przywiązań:

Stałem pod Klubową. Teraz to elegancki salon fryzjerski pod nazwą Ellite. Obok był hotel Centralny. Też go nie ma. Za rogiem na Pankiewicza, tam gdzie parter zajmował Mały Spatif, ulokowało się biuro podróży (NE 151).

Warszawa współczesna widziana oczami Nowakowskiego jest więc miastem nieuchronnego zanikania dawnych wartości. Nostalgia twórcy nie opiera się jednak na kreowaniu przejawionego mitu miasta, chyba że, jak chciał Artur Nowaczewski, mówimy tu o „mieście ciągłego rozpadu”²⁴. Rozpadu, który wędrowiec chce powstrzymać przy użyciu siły pamięci.

W ostatnich latach swej twórczej drogi Marek Nowakowski powołał do życia jeszcze kilka podobnych biograficznych dzieł – *Mój słownik PRL*, *Syjonistów do Syjamu* i najbardziej osobiste *Pióro* i *Dziennik podróży w przeszłość*, jednak to właśnie *Powidoki* i *Nekropolis* przynoszą najciekawsze opisy Warszawy – miasta złożonego (o czym czasem zapominamy) z wielu warstw i wielu pokładów pamięci.

6. Wiele tekstów, jedno dzieło

Wielka liczba utworów, spośród których tylko kilka można było przywołać w niniejszym szkicu, dziesiątki lat twórczej pracy w zmieniających się obrotach historii. A jednocześnie zawsze ten sam Nowakowski – oszczędny w słowach, niepozorny obserwator, a zarazem intelektualista podejmujący ważne etyczne zagadnienia, niestrudzony kronikarz. Historyczne świadectwo przeplatało się u Nowakowskiego z drobnymi szkicami z codziennego życia. Erudycja i inteligencja mieszały się z prostotą języka. To współwystępowanie różnych rzeczywistości i pierwiastków stanowi o wyjątkowości jego prozy i o tym, że choć powstawała w odległych już od naszych czasach i nierzadko traktowała o ludziach i zdarzeniach, z którymi zupełnie nic nas już nie łączy, również dziś może być fascynująca i przystępna. Frapująca, bo odsłania intrygującą

²⁴ A. Nowaczewski, *Szlifbruki i flâneurzy...*, s. 108.

prawdę o przeszłości, zrozumiała i poruszająca, bo przekazuje uniwersalne prawdy o człowieku.

Rozdział III

By jednym słowem uchwycić świat

Interpretacje wybranych utworów

I. *Śmierć żółwia*. Kłamstwo i pułapka

Jedną z najłatwiej dających się uchwycić cech prozy Marka Nowakowskiego jest zwięzłość. Krótka forma wymagała szybkiej i zdecydowanej kreski – zdolnej ukazać świat ledwie kilkoma wyrazistymi pociągnięciami. Nie inaczej jest w przypadku pisarskiego rysunku sytuacji, otwierającego opowiadanie *Śmierć żółwia*.

Niewyraźnie czuł się już od rana. Nie fizycznie, skąd, ze zdrowiem najzupełniej w porządku. Ale takie dziwne miał uczucie, że niby spokojnie i zwyczajnie, nic się nie dzieje, a jednak... Coś nie tak... Dlaczego w środku taki bulgot, jeszcze nieznaczny, ale już dokuczliwy? Dlaczego oko na niczym nie może znaleźć spokojnego oparcia? A myśl przeskakuje z tematu na temat... (ŚŻ 5)

Tajemniczy i poniekąd złowrogi początek w połączeniu z dalszą, groteskową, śmieszoną, a zarazem straszną częścią opowiadania nieuchronnie kojarzy się z europejskim prawzorem podobnych rozwiązań fabularnych – z *Procesem* Franza Kafki. Tonacja powieści praskiego pisarza jest o wiele bardziej ponura, a struktura zdecydowanie bardziej skomplikowana, oba teksty mają jednak wspólny mianownik – sytuacja osaczenia bohatera, który z nie swojej winy wpada w pułapkę bez wyjścia.

Ktoś musiał zrobić doniesienie na Józefa K., bo mimo że nic złego nie popełnił, został pewnego ranka po prostu aresztowany. Kucharka, pani Grubach, jego gospodyni, przynosząca mu śniadanie codziennie około godziny ósmej rano, tym razem nie przyszła. To się dotychczas nigdy nie zdarzało. K. czekał jeszcze chwilę, widział ze swego łóżka starą kobietę z przeciwka, która obserwowała go z niezwykłą ciekawością, potem jednak głodny i zdziwiony zadzwonił. Natychmiast ktoś zapukał i wszedł mężczyzna, którego jeszcze nigdy w tym mieszkaniu nie widział¹.

Tak zaczyna się *Proces*. A u Nowakowskiego? Zamiast absurdalnej sceny wtargnięcia nieproszonego gościa mamy obraz skierowany ku wnętrzu bohatera, opis jego dziwnych przeczuć. Oto poranek, który zapowiada nadchodzący chaos, katorgę, „proces”... *Śmierć żółwia* zgrabnie łączy przenikliwy obraz psychologicznego dramatu

¹ F. Kafka, *Proces*, tłum. Bruno Schulz, Warszawa 1995, s. 7.

i przejmujący obraz urzędniczej maszyny, puszczonej w ruch przez totalitarny system. Buduje tym samym sieć aluzji do rzeczywistości PRL epoki Edwarda Gierka. Autor tekstu, inaczej niż Kafka, nie buduje świata szarocznego, wręcz depresyjnego, lecz ubiera perypetie swojego bohatera w śmieszno-straszny kostium, umiejętnie łącząc tragedię z komedią. Buduje własny, oryginalny świat, niezależny od kafkowskiego prawzoru.

Bohaterem tekstu jest bezimienny architekt w wieku czterdziestu kilku lat. Ma dobrą pracę, żonę i syna. Mieszka w bliżej nieokreślonym, ale raczej niemałym mieście. Jak możemy sądzić na podstawie opisu jego mieszkania i niedzielnego poranka, toczy on dość spokojny, ustabilizowany żywot. Jak dowiemy się z dalszej części utworu, podczas drugiej wojny światowej walczył jako partyzant, ale nie przykładą do tego okresu wielkiej wagi i go nie rozpamiętuje.

Mamy więc portret przeciętnego obywatela, statystycznego „Kowalskiego”, w którym każdy z nas może odnaleźć część samego siebie. Przydzielając mu profesję architekta, kojarzącą się z pracą intelektualną i spokojnym wykonywaniem kolejnych zadań, pisarz buduje obraz człowieka zrównoważonego, opanowanego, wręcz przewidywalnego. Naturalnie do czasu, gdy z balkonu mieszkania bohatera niespodziewanie wypadnie żółw.

Ów wypadek w zaskakujący sposób stanie się motorem akcji, która rozwinie się tak jak w greckiej tragedii. Okaże się, że bohater jest uwikłany w sytuację bez wyjścia. Już wkrótce zobaczymy, jak fatum determinuje jego los, jak popycha go w stronę zdarzeń coraz groźniejszych i bardziej absurdalnych. Już niebawem będziemy obserwowali, jak bezradnie się szamocze, nie może wydostać się z matni, a każde posunięcie przynosi kolejne negatywne konsekwencje. Wróćmy jednak do zawiązania akcji. Z balkonu spada żółw. Bohater jest w szoku, zbiega na podwórko, gdzie gromadka chłopców patrzy na konające zwierzę. Wydaje się, że sprawa jest prosta i szybko się rozwiąże – bohater przekupuje chłopców, by nikomu nie mówili o zajściu. Nie chce bowiem, by o tragicznym losie żółwia dowiedział się jego syn. Zabiera zwierzę, by zakopać jego zwłoki.

Nieco dziwna, trochę komiczna, trochę refleksyjna „ceremonia pogrzebowa” żółwia przenosi nas w atmosferę „medytacji nad marnością życia”:

A pustka jesiennego parku, którą tak zawsze lubił, wydała mu się dziś przygnębiająca i obca. Omijając spojrzeniem purpurowozłoty przepych liści, widział tylko trupią nagość drzew. Tak patrzył długą chwilę... Między drzewami szyderczy uśmiech kamiennego fauna, zastygły w kamieniu grymas. Powiał wiatr, liście przesłoniły rzeźbę.

Ocknąwszy się, wrócił na to wybrane miejsce wśród kępy głógów.

Już nic w żółwiu nie poruszało się ani niepokoiło pozorem życia. Tylko nie leżał na szmacie, ale w trawie obok. Zostawił go przecież na szmacie. Nie był jednak pewien... Łopatką saperską począł wywalać piach. A dokopawszy się do znacznej głębokości, spocony i ubrudzony ziemią jak grabarz, złożył tam żółwia owiniętego w szmatę i zasypał (SZ 9–10).

Autor opowiadania nie wdaje się w analizy psychologiczne. Pozostawia to czytelnikowi. Nie wiemy, czy zachowania bohatera można wpisać w klasyczny schemat wyparcia winy i zatarcia śladów nieprzyjemnego dla niego zdarzenia. Wkrótce dowiemy się jednak, w jaki sposób „ukryte” stanie się źródłem udręki, jak zmieni stosunek architekta do całego świata. Bohater decyduje się na kłamstwo, by ocalić swoje relacje z synem (sam siebie przekonuje, że chce chronić syna). Ta decyzja jednak tylko pozornie i tylko na krótko przynosi mu spokój. Niedługo potem wpada przez to w tarapaty. Konieczność ukrywania prawdy o zdarzeniu przed wszystkimi wokół – zwłaszcza przed rodziną oraz pracownikami Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami – doprowadza go na skraj nerwowego wyczerpania, a spirala kłamstw, w którą wpada, uniemożliwia powrót do normalności:

Mijał się z synem w przedpokoju. Nagle chłopiec zatrzymał się, jakby coś sobie przypomniał. Też stanął przy ścianie, ale nie odwracał głowy.

– Tatusiu... – powiedział syn – a gdzie jest właściwie nasz żółw?

Wtedy już się odwrócił. I od razu uderzyło go to spojrzenie chłopca. Badawcze i uważne. Zaniepokoilo go to spojrzenie. Takie uporczywe.

Nie wiedział, co odpowiedzieć. Począł miętosić w palcach papierosa.

– Gdzie on jest? – powtórzył syn – Co się z nim stało? Już tyle dni go nie widziałem...

Nadal nie wiedział, co odpowiedzieć. I z coraz bardziej dławiącego poczucia osaczenia wybuchła w nim złość.

– Żółw! Żółw! – wrzasnął.

To ciągle spojrzenie syna. Nie mógł znieść.

– Do lekcji! – krzyczał coraz głośniejsze – Bierz się do lekcji! Egzaminy za pasem, a on... – już tylko bełkotał. Przybiegła żona. Oboje jednakowo zdumieni tym wybuchem. Wpatrywali się w niego (SZ 27–28).

Zauważmy, że przy zastosowaniu prostych środków i niewielu słów Nowakowskiemu udaje się pokazać skomplikowaną relację ojca

z synem, jak też wyrzuty sumienia targające tym pierwszym. Kilka słów, kilka gestów, zwykła wymiana zdań składa się na psychologiczną wiwisekcję mężczyzny udręczonego nieprzepracowanym – wypieranym ze świadomości, a więc tym bardziej dręczącym – poczuciem winy.

Zły stan psychiczny bohatera ma swoje źródło zarówno w jego własnych błędach, jak i w opresji ze strony Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami. Urzędnicy tej organizacji, otrzymawszy zgłoszenie o spowodowaniu śmierci żółwia, zaczynają regularnie nachodzić bohatera w celu przeprowadzenia drobiazgowego śledztwa. Ukazując działania pracowników Towarzystwa, Nowakowski w celny, precyzyjny sposób obnaża kulisy funkcjonowania maszyny biurokratycznej, wobec której petent zawsze zajmuje pozycję winnego czy nawet – skazanego. Konfrontacja bohatera z urzędnikami przypomina z jednej strony rozpaczliwą walkę Józefa K. z prawnikami w *Procesie*, a z drugiej jawi się jako farsa czy komedia absurdu. W przeciwieństwie do Kafki Nowakowski nie szczędzi ironii, przedstawiając funkcjonariuszy systemu:

– Jakich jeszcze udzieli wyjaśnień odnośnie sprawy? – spytała bezosobowo.

Długopis już w pogotowiu nad papierem.

– Ależ... ja nic nie rozumiem... – powiedział – to jakies nieporozumienie... idiotyczne nieporozumienie... – powtórzył.

Parsknęła złośliwym śmiechem.

– Otóż to... – stuknęła długopisem w stół – wielkie nieporozumienie właśnie... Chować zwierzęta i w taki sposób je wykańczać...

Przeniknięty jej głosem-żyłką, znowu odruchowo przyłożył palec do ust. [...]

– Zatkąło pana, co? Nie myślał pan, że dojdziemy... Ja! – stuknęła się w płaską pierś, obciążoną czarną, zapyloną materią – ...zawsze dojdę. Na przykład w zeszłym roku ukamienowali psa i utopili w gliniance. Wczoraj, nikogo nie było, tacy byli pewni. I co! Wytropiłam...

– Będzie sprawa – powtarzała, zapierając się nieco. Oderwał jej suchą, żylastą dłoń od framugi. Zatrzasnął drzwi.

– Bestia! – słyszał jeszcze (ŚŻ 11–12).

Wygląd zewnętrzny, ubiór, gesty, sposób poruszania się i mówienia – wszystko to nadaje postaci urzędniczeki wymiar karykaturalny. Zabiegi pisarza zmierzają w stronę depersonalizacji tej postaci i ukazują ją jako bezduszną i bezmyślną funkcjonariuszkę opresyjnego aparatu władzy. Skoncentrowana na wykonaniu zadania – ukarania sprawcy śmierci żółwia – i przekonana o swoich racjach, funkcjo-

nuje nie jak człowiek, ale jak tryb w gigantycznej i wszechwładnej maszynie urzędniczej. Opisana wizyta to jednak dopiero początek gehenny bohatera. Jej kolejny etap to jego wizyta w siedzibie instytucji. Urzędnik siedzący za biurkiem i jego pomocnica są tak głęboko przekonani o winie bohatera, że nie dopuszczają go do głosu. Próbuje on wytłumaczyć, co się stało, ale jego wysiłki spełzają na niczym. Nikt mu nie wierzy... Prezes uważa go za zbrodniarza.

– Dzieci, relacja świadków to jeszcze nic – prezes machnął niedbale ręką. – Ale najważniejsza jest psychologia sprawcy, jego zachowanie...

Nie dokończył, bowiem on wstał, odsuwając z łoskotem krzesło.

– Dość, dość! – wyrzucił zdumionym głosem.

Zbudził się kot. Zbudziła się kotka i pies.

A jego ogarnęła wściekła chęć kopania, tłuczenia, rozszarpywania...

Przymknęła oczy, żeby nie patrzeć na pyski ludzi i zwierząt, jednakowo odrażające, jednakowo straszne. Zataczając się, ciągle z zamkniętymi oczyma, jak lunatyk, popędził do korytarza. Kocur Alf wyrwał się z ramion grubej kobiety, pies wcisnął się pod fotel (ŚŻ 23).

Podobnie jak Kafka Nowakowski daje do zrozumienia, że w zderzeniu z aparatem państwowym szary obywatel zawsze znajduje się na pozycji winnego. Funkcjonariusze aparatu władzy są przeświadczeni o jego winie, zanim go zobaczą. Przesłuchanie nie polega na próbie zrozumienia i wysłuchania petenta. Ma tylko sprawić, że będzie uległy. Biuro – oglądane oczami architekta – jawi się jako przestrzeń całkowicie mu obca i opresyjna. Niedaleko stąd do podejrzeń, że instytucja Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami jest w analizowanym opowiadaniu metaforą totalitarnego aparatu władzy. Być może, Nowakowski – podobnie jak Kafka – stara się także zarysować jeszcze szersze piętro znaczeń i opowiedzieć o człowieku w ogóle. Los architekta byłby wtedy figurą ludzkiego losu – symbolem naszego zagubienia w świecie (który pozostaje wobec nas obcy i niezrozumiały) czy też – jak opisywali to egzystencjaliści – „rzucenia w istnienie”. Jeśli brzmi to nazbyt patetycznie, to zauważmy, że patos omawianej sceny został przez pisarza przełamany dzięki wprowadzeniu postaci zwierzęcych. Dehumanizacja instytucji ukazana jest przecież w sposób satyryczny właśnie za sprawą figury kota, któremu okazywane jest niemal uwielbienie. Architekt jest mniej ważny niż pupil pracowników biura. Towarzystwo Opieki nad Zwierzętami to organizacja, dla której zwierzę jest ważniejsze niż prawda i los człowieka...

Źródłem atmosfery anonimowości jest tu także język, którym posługują się bohaterowie. Podobnie jak oni sami traci on swój personalny wymiar, pozostaje bezosobowy. Odnosimy wrażenie, że urzędnicy komunikują się tak, jak gdyby nie mówili do osób, jakby mówili mechanicznie i bezrefleksyjnie, używając wyuczonych urzędniczych frazesów. Niczym w *Roku 1984* George'a Orwella dewaluacja języka łączy się w świecie Nowakowskiego z dewaluacją wartości. Z kolei fragmentaryczność narracji pozwala polskiemu pisarzowi ostro zarysować kolejne etapy wewnętrznej przemiany bohatera. Poznajemy je jakby w rozbłyskach. Ich migotliwość zdaje się też mówić coś więcej. Wydaje się, że koresponduje ona z jego stanem wewnętrznym, oddaje chaos świata, który stracił dawną równowagę i wcześniejszy porządek.

Rozpad świata, który otacza bohatera, jest, jak można się domyślać, odbiciem dezintegracji, która dokonuje się w jego wnętrzu. Poddany opresji urzędników i przemęczony nieustannym chaosem bohater w pewnym momencie zaczyna kwestionować to, co wydawało mu się pewne i oczywiste – że nie zabił żółwia, że nie zrobił nic złego. Toczący się w jego głowie monolog stanowi postulowaną przez autora refleksję nad istotą prawdy, nad możliwością jej jednoznacznego poznania. Widać to wyraźnie w słowach, które bohater kieruje sam do siebie, gdy analizuje własne życie i to, co tak naprawdę o sobie wie, kim tak naprawdę jest.

On sam? Lat czterdzieści kilka, regularnie zarysowana twarz, myślące oczy, włosy lekko szpakowate, jeszcze gęste, figura szczupła i umięśniona, bez zniekształceń typowych już dla tego wieku. Inteligent z wolnym zawodem, architekt, w dodatku wzięty, a więc zarobki znaczne i pewna twórcza satysfakcja, przeżycia wojenne i powojenne dość typowe dla tego pokolenia. Do niedawna jeszcze spotykał się z towarzyszami konspiracyjnych akcji podczas okupacji. Ale czynił to rzadko, bez specjalnego uniesienia i sentymentu do przeszłości. Raczej rzeczowy z natury. I małowówny. Od lat już spokojny i ustabilizowany, bez uniesień właśnie i zbyt wygórowanych nadziei. Przygody miłosne nieliczne, a więc nie burzące udanego małżeństwa. Dobry mąż i ojciec. W stosunkach z ludźmi powściągliwy i opanowany.

– Tak mało o tobie wiem... – wyrwało się kiedyś żonie.

Wzruszył ramionami. W milczeniu już dopili poobiednią kawę... (ŚŻ 32)

Jednocześnie, jak widzimy, trauma uruchamia w bohaterze wspomnienia dotyczące dawnych czasów, wojny, przyjaciół. Przede wszystkim jednak ten monolog wewnętrzny, jak i cała treść opowiadania

przynoszą zasadnicze pytanie. „Czym jest prawda?” – zdaje się pytać Nowakowski niczym ewangeliczny Piłat ustami swojego bohatera.

Czy to pytanie pozostaje bez odpowiedzi? Czy Nowakowski uważa, że „prawdy obiektywnej” nie ma? Nie, nie wygląda na to. Rzecz w tym, że obraz rzeczywistości można łatwo zafalszować, gdy brnie się w kłamstwo, gdy nagina się rzeczywistość dla własnej korzyści. W gruncie rzeczy tak właśnie czyni bohater, okłamując syna i ukrywając przed nim, że żółw nie żyje. Kłamią też urzędnicy, choć można się zastanawiać, czy ci ostatni są nieuczciwi, czy po prostu głupi, zupełnie ośpiali i zniszczeni przez totalitarny aparat państwa. W każdym razie kłamstwo opanowuje świat, w którym poruszają się bohaterowie. Kłamstwo sprawia, że przemienia się on w teatr groteski i absurdu, niekończącą się plątaninę oskarżeń i domysłów doprowadzającą wszystkich i wszystko do obłędu.

Szczytowym punktem tej tragikomedii jest oczywiście finał, w którym bohater – zupełnie rozbity wewnętrznie – siada przed komisją mającą potwierdzić ostatecznie jego winę. Następuje wybuch emocji, jednak po nim przychodzi apatia i odrętwienie. Architekt ostatecznie poddaje się opresyjnemu systemowi.

Oderwał dłonie od oczu i krzyknął. Początkowo był to tylko zwierzęcy ryk i nic więcej. Palce rozczapierzył jak szpony.

– Zamordowałem! – zawył, dłonie napęczniały mu żyłami, jakby chciał zamordować prawdę. Wybuchło zamieszanie. Szurgot odsuwanych krzesel. Czyjeś głosy, czyjeś ręce... [...]

Pytanie: – Czy obwiniony przyznaje się do zarzucanego mu czynu – pozostało bez odpowiedzi (ŚŻ 34–35).

Ten końcowy przejmujący fragment Nowakowski zestawia ze wspomnieniem bohatera z dzieciństwa dotyczącym wyobrażenia piskląt wykluwających się z jajek, deptanych wielkim butem. Ta część stanowi wymowną, wręcz poetycką metaforę losu bohatera i losu człowieka w systemie totalitarnym w ogóle.

I tylko ten natarczywy obraz z dzieciństwa.

...Z rozbitych skorup wynurzają się żółte dzióbki piskląt, gołe szyjki i mokry, rzadki puch. Dzióbki otwierają się szeroko, ślepe oczy powleczone błoną... Coraz więcej skorup z gramolącymi się niezdarnie pisklętami... A nad nimi unosi się stopa, wielka i płaska stopa. Sękaty paluchy, czarna, poryta pięta. Stopa olbrzymieje... Z sekundy na sekundę. Opadnie zaraz i zmiażdży to wszystko... (ŚŻ 35)

Mimo skromnej objętości *Śmierci żółwia* i tragikomicznej tonacji Nowakowskiemu udało się stworzyć poruszający obraz PRL jako systemu opresji zmierzającego do zniszczenia człowieka. Refleksja pisarza ma zarazem charakter uniwersalny, stając się filozoficzną przypowieścią o prawdzie i społecznym ostracyzmie oraz o łatwości wydawania wyroków i osądów dotyczących drugiego człowieka. Przy tym wszystkim należy odnotować, że pisarz, jak to zawsze miał w zwyczaju, budując lakoniczną, lecz wymowną literacką przypowieść, zawarł w swym dziele wiarygodny realistyczny ogląd epoki i zastanej rzeczywistości. Abstrahując od spraw wyższego rzędu, wypada zauważyć, że w *Śmierci żółwia* zawiera się proste, lecz jasne świadectwo realiów życia w PRL. Światem bohaterów jest blok, szare miasto, urząd, mieszkanie – proste przestrzenie, z których składała się przestrzeń życiowa Polaków przez całe dekady. Większa część akcji rozgrywa się w ciasnych pomieszczeniach, co tylko wzmacnia atmosferę klaustrofobii i osaczenia. Znowu wskazuje to na cechy szerszego obrazu – obrazu epoki i warunków życia obywateli PRL. Nowakowski zawarł też w swoim dziele fundamentalne pytania natury etycznej, pytania o wyniszczającą funkcję kłamstwa w życiu człowieka, kłamstwa, które przybierając rozmiary systemu i nowej rzeczywistości zastępującej dobro i prawdę, może okazać się brzemienne w skutkach, a wręcz śmiertelne, tak dla jednostki, jak i dla całego społeczeństwa, w którym tej przyszło funkcjonować.

Nade wszystko jednak Nowakowski w *Śmierci żółwia* jednoznacznie pokazał, że jest kimś więcej niż „piewcą marginesu” czy „małym realistą”. Udowodnił, że w jego pisarstwie nie chodzi tylko o rysowanie banalnych „obrazków” z życia prostych ludzi, lecz o coś więcej – przekazywanie skomplikowanych prawd moralnych i egzystencjalnych. Tak oto z błahej, wydawałoby się, historii stworzył pogłębione studium psychologiczne i społeczne.

2. *Raport o stanie wojennym. Mozaika ludzkich losów*

Gruntowna analiza wszystkich opowiadań zawartych w *Raporcie o stanie wojennym* Marka Nowakowskiego jest trudna do wykonania – z racji wielkiej liczby utworów zawartych w tym zbiorze – i być może niekonieczna. Wydaje się, że pewne fragmenty pozwalają uchwycić zasadnicze cechy całości. Specyfika *Raporstu...* wynika bowiem z nietypowej relacji i zależności między poszczególnymi opowiadaniem – każde z nich stanowi niezależną całość, przedstawiającą kompletną i zamkniętą historię, ale razem, niczym w impresjonistycznym malarstwie, jest plamką, która odzwierciedla całościowy pejzaż stanu wojennego w Polsce, odmiennych ludzkich doświadczeń i barw tamtych trudnych dni.

W opowiadaniach z *Raporstu o stanie wojennym*, które zostały zaprezentowane w niniejszej książce, uderza zmienność tonacji i nastrojów – w jednych zapiskach dominuje konwencja dramatyczna i poważna, w innych – niemal komediowa. Uwagę zwracają również przenikanie się doświadczeń jednostki z losem bohatera zbiorowego (narodu w sytuacji zagrożenia) oraz wysiłek pisarza, by opisać te zwyczajne sytuacje, które w wyjątkowej atmosferze stanu wojny nabierają niecodziennego, niemal parabolicznego charakteru.

Przyjrzyjmy się bliżej czterem opowiadaniom i ich bohaterom. *Opowieść taksówkarza* to – jak wskazuje tytuł – relacja z dnia pracy kierowcy miejskiej taksówki. Chciałoby się powiedzieć – będzie to zwyczajna opowieść o zwyczajnych ludziach. Nic bardziej mylnego, chodzi bowiem o pierwsze chwile stanu wojennego i mroźny początek grudnia pamiętnego 1981 roku:

Jeżeli zamek zamarźnie, to najlepszy jest płyn hamulcowy. Kilka kropel wlać do środka i kręcić kluczykiem. Można też podgrzać. Dziś rano miałem takie ćwiczenie z zamkiem. Ale silnik zapalił od razu (RSW 11).

Relacja taksówkarza na temat mrozu utrudniającego otwarcie drzwi w samochodzie w innych okolicznościach nie miałaby tak wielkiego znaczenia, jednak w kontekście tematu przewodniego zbioru stanowi jasny sygnał, że akcja rozgrywa się w przededniu narodowej tragedii. Głównym bohaterem, a w tym przypadku również narratorem, jest prosty mężczyzna. Opisuje on otaczający go świat i wydarzenia z perspektywy swego taksówkarskiego fachu, nie sili się na historiozoficzne dywagacje. Wspomina zatem o nie-

doborach benzyny czy oddziałach żołnierzy stacjonujących na ulicach. Zasadniczym tematem jego relacji są jednak opowieści o pasażerach. Przestrzeń taksówki, w której siłą rzeczy pojawiają się każdego dnia bardzo różni ludzie, staje się dla Nowakowskiego miniaturą całej Warszawy, a może nawet Polski – zaskoczony brutalnością władzy decydującej się na zastosowanie opresji militarnej wobec własnych obywateli:

Pasażerowie małowolni raczej. Boi się człowiek człowieka. Kapusie wyjdą na wierzch. Zaczną węszyć i premię za czujność pobierać. Wiozłem jednego takiego. Futrzana czapa, morda czerwona, nabita. Mongoł. W lusterku go widziałem. Sprawdzić mnie chciał taki syn.

- Wreszcie – powiada – będzie spokój i porządek.
- Co, proszę? – ja mu na to.
- No jak to? – pyta. – Pan jest odmiennego zdania?
- Co, proszę? – powtarzam. – Słabo słyszę, bębenki w uszach mi popękały (RSW 12).

Atrakcyjność opowiadania Nowakowskiego polega na szczególnej perspektywie obrazu świata. Opowiadanie jest jedynym w swoim rodzaju opisem stanu wojennego oglądanego okiem taksówkarza. Można by pomyśleć, że jest to perspektywa mocno zawężona, ograniczona wymogami zawodu i przeciętnym wykształceniem, w istocie jednak mamy do czynienia z bohaterem, który tylko z pozoru wydaje się naiwnym obserwatorem rzeczywistości. Stopniowo widzimy, że oko taksówkarza wychwytuje ważne detale rzeczywistości, trafnie ocenia ludzi i całą sytuację, że tlą się w nim iskierki humoru i błyski ironii.

Dzięki temu, że taksówkarz z racji zawodu jeździ w rozmaite rejonny Warszawy, otrzymujemy swoistą panoramę spostrzeżeń i całościowy obraz miasta i atmosfery w nim panującej. Taksówkarz dostrzega biedę, brak podstawowych towarów i strach lęgnący się w ludziach. Informuje czytelnika o czołgach przetaczających się ulicami czy kordonach milicjantów, ale zarazem o problemach palaczy – muszą walczyć z nałogiem, bo brakuje kartek na papierosy. Zamiast tworzyć jednoznacznie ponury obraz apokalipsy albo banalizować zdarzenia przez parodię, Nowakowski umiejętnie łączy tonację dramatyczną i komediową, przedstawiając świat jednocześnie prawdziwy i przerażający, jak i nienaturalny i groteskowy. Decydując się na taką strategię, w której realizacji pomogła dobrze

skonstruowana postać narratora, oddał trudny do zdefiniowania charakter pierwszych dni rządów junty wojskowej w Polsce.

W niektórych opowiadaniach autor rezygnuje jednak z posługiwania się groteską. Tak dzieje się w utworze *Nowe życie*, w którym ukazano historię młodego małżeństwa, próbującego dostać się do szpitala, kiedy rozpoczyna się akcja porodowa.

Stał na poboczu pustej, wiejskiej drogi i podtrzymywał kobietę. Ona była przeraźliwie. Psy z najbliższych zagród zaczęły odpowiadać na ten przenikliwy, nabrzmiały bólem głos. Był bezradny. Ból chwycił ją o północy i trzymał uparcie. Wzmażał się nawet. Patrzył na nią z niepokojem. Jej oczy zabłysnęły wilgotnie. Płakała (RSW 100).

W kilku prostych zdaniach autor przedstawia bohaterów, kreśli otaczającą ich przestrzeń, opisuje sytuację, w jakiej się znajdują, i oddaje atmosferę bólu, cierpienia i strachu. Czujemy, że sprawa jest poważna i dramatyczna. Ogrom bólu kobiety podkreślony zostaje przez przywołanie reakcji okolicznych psów odpowiadających na jej krzyk. Obraz psów znajduje zresztą w opowiadaniu swoją wymowną symboliczną kontynuację. Ujadające psy mają nie tylko podkreślać ból i chaos, z którymi mierzą się bohaterowie, rozpaczliwie szukający środka transportu, aby dostać się do szpitala, ale także stają się metaforą postawy milicjantów, których małżeństwo spotyka na swej drodze. Przyszli rodzice szczęśliwie natrafiają na ciężarówkę, której kierowca, spostrzegłszy, jak poważna jest sytuacja, pędzi do szpitala, szybko jednak zatrzymuje go milicja. Kierowca, widząc milicjantów, złośliwie komentuje, że oto na horyzoncie pojawiły się „wilki”. Istotnie, zachowanie funkcjonariuszy nie ma wiele wspólnego z ludzką solidarnością i pomocą. Dwaj mężczyźni mechanicznie wykonują swoje obowiązki, zachowując się bezdusznie i nie przejmując się losem kobiety.

Milicjant począł obmacywać worki. Czynił to powoli i starannie. Ten pierwszy oddał dokumenty kierowcy. Zatrzymał dowód mężczyzny.

– A ona? – wskazał na kobietę.

Mężczyzna gładził machinalnym ruchem dłoń kobiety. Poprawił delikatnie jej opadającą głowę.

– Ona może umrzeć za chwilę – po raz drugi odpowiedział za niego kierowca.

Milicjant mruknął coś niezrozumiale. Nie ponowił pytania. Oddał dowód mężczyźnie. Tamten zadygotał cały i z jego ust wydobył się dziwny, chrapliwy dźwięk (RSW 102).

Prosta zwierzęca metafora znajduje więc swoją przejmującą realizację w tej, wydawałoby się, codziennej scenie zatrzymania na drodze samochodu do kontroli. Autor umiejętnie stopniuje napięcie, ukazując strach ojca lękającego się o swoją żonę i przyszłe dziecko. Doprowadza też to napięcie do maksimum, pozostawiając opowiadanie bez jednoznacznego zamknięcia.

Ogarnął go strach. Nie będą mieli dziecka. Poroni. Urodzi się martwe. Modlić się zaczął. Przypominał sobie słowa dawno zapomnianej modlitwy (RSW 103).

Niepewność losów bohaterów tylko wzmacnia negatywny obraz przedstawionych w utworze milicjantów. Nowakowski przez tę prostą scenę dokonuje analizy wpływu systemu totalitarnego na ludzkie zachowania i odkrywa procesy dehumanizacji typowej dla komunistycznego ucisku. Jego opowiadanie, jak często u tego twórcy, ma więc zarówno wymiar historycznego świadectwa, jak i uniwersalnej humanistycznej refleksji.

Raport o stanie wojennym wypełniają rozmaite scenki rodzajowe. Taki charakter ma szkic literacki *Wśród nocnej ciszy*. Tytuł, nawiązujący do słów znanej kolędy, ma ironiczny wydźwięk – idylliczny motyw bożonarodzeniowy zostaje zderzony z brutalną rzeczywistością wojskowego reżimu. Pierwsze akapity nie pozostawiają co do tego wątpliwości. Wypełnia je sugestywny obraz nocnego miasta, w którym pozorny spokój godziny policyjnej tak naprawdę skrywa grozę nieustannie czyhającego niebezpieczeństwa:

Miasto zamiera już wczesnym wieczorem. Autobusy pędzą jak widma, a ostatni pasażerowie kulą się w nich straszliwie. Latarni pali się niewiele. Ciemną pustką zieją ulice. Tu i ówdzie widać żałobne okna kawiarni i restauracji. Są zamknięte. Sterczą nogi krzeseł ustawionych na stolikach. Nikłowy błysk ekspresu. Puste półki (RSW 109).

Oto miasto śmierci, miasto widmo. Opis jest zbudowany z funeralnych metafor. Autobusy nie jadą, lecz pędzą jak duchy. Ulice nie są puste, lecz zieją pustką. Żałoba zamkniętych okien kawiarni i restauracji wskazuje, że w innym świecie, w innej sytuacji mogłyby one żyć nadal, a początek wieczoru mógłby być początkiem nocnego życia miasta. Tu jednak o tej straconej szansie przypomina tylko błysk nieużywanego ekspresu.

Atmosfera smutku i śmierci to jednak tylko część obrazu, do którego chwilę później narrator wprowadza aktorów. Jeśli tytuł sugerował klimat świąteczny, niemal sakralny, to sugestia ta zostanie teraz gwałtownie przełamana. Na scenę opowiadania bezwzględnie wdzierają się profanum – wraz z rykiem kilku żołnierzy, którzy krzyżując, skacząc i wymachując swoimi pasami, idą przez miasto. Prawdopodobnie są pijani, daleko im do obrazu stróżów porządku, wolności ojczyzny i bezpieczeństwa obywateli. Ci ostatni uciekają przed nimi, starając się zbiec do domu, zanim nieuchronnie wybije godzina policyjna i każdy, kto wtedy zostanie złapany na ulicy, będzie musiał ponieść konsekwencje. Żołnierze brną przez ulice, a ich pochód stanowi w istocie demonstrację brutalnej siły i władzy wybranych jednostek nad ogółem.

Ludzie z okien zobaczyli żołnierzy podążających jezdnią. To nie był patrol. Czterech i szli gromadką. Zdjęli swoje wojskowe pasy i pomachiwali nimi z rozmachem. Pasy uderzały sprzączkami w kamienie bruku. Wzbijały się iskry. Żołnierze zataczali się i potrącali. Przystanęli i wsłuchali się w kocią muzykę miłosną z parku.

– Kici, kici – wołali.

Koty darły się ludzkimi, strasznymi głosami.

Dostrzegli ludzi w oknach. Zerwali z głów czapki. Podrzucali je w górę. Czapki spadały na bruk. Chwiejąc się i padając na kolana podnosili czapki z jezdni (RSW 110).

Po raz kolejny obserwujemy tu zwierzęcą metaforę, przy której użyciu komentowane jest zachowanie funkcjonariuszy systemu, terroryzujących miasto i ludzi. Żołnierze, niczym pędzone dzikim instynktem koty, suną przez miasto i w barbarzyński sposób zaznaczają swoją wyższość. Pijani, idą ulicą, podzuczając nakrycia głowy i zachłystując się władzą, faktem, że całe miasto „należy do nich”. Zwykli ludzie – skuleni w swoich domach – mogą tylko patrzeć na ten spektakl pierwotnych ludzkich instynktów... Obraz mieści w sobie ogromne pokłady buntu wobec zwyczajstwa brutalnej siły.

Ton sprzeciwu wobec świata totalitarnego ucisku pojawia się w *Raporcie...* regularnie i mieni się rozmaitymi odcieniami. W *Wiosennym spacerze* zabarwiony jest gorzkim humorem. Bohaterem opowiadania jest mężczyzna, który ma ochotę wypocząć po pracy. Przypomnijmy, co mówi sam o sobie:

Wymięty jak szmata wróciłem do domu. Marynia w lot chwyta moje nastroje i o nic nie pytała. Tylko szybko podała kolację. Udało jej się zdobyć

podroby. Z tych podrobów ugotowała gulasz na wzór węgierski. Zaczęłam jeść. Niby smaczne, pikantne, a śmierdzi. Wściekłem się. [...] Odstawiłem talerz. Z hałasem, owszem. Marynia patrzy na mnie wystraszona. Opanowałem się ostatkiem sił (RSW 119).

Obrazek z życia wzięty – chciałoby się powiedzieć. Nie jest to jednak życie zupełnie normalne, skoro bohaterka nie tyle kupuje, ile raczej „zdobywa” mięso, i to w dodatku niepełnowartościowe, najgorszej jakości. A jej mąż? Czy jego frustracja wynika tylko z fizycznego zmęczenia? Do pewnego stopnia tak, jednak już w tym krótkim fragmencie widzimy, że to tylko część problemu. Jak dowiemy się później, mężczyzna odczuwa przede wszystkim zmęczenie psychiczne i duchowe wywołane przez stan wojenny, związany z nim ideowy rygor w zakładzie pracy, atmosferę ucisku i braku wolności, a także marną jakość życia wynikającą z fatalnej sytuacji gospodarczej kraju. To ostatnie odczucie, jakże typowe dla Polaków w tamtym okresie, zawarł Nowakowski w uwadze bohatera dotyczącej gulaszu, który – jak jesiotr drugiej świeżości w *Mistrzu i Małgorzacie* Michała Bułhakowa – niespodziewanie staje się metaforą jakości życia w systemie totalitarnym: niby można go zjeść, a jednak śmierdzi. Podobnie rzecz się ma z innymi źródłami satysfakcji bohatera, który chwilę później narzeka na złą jakość palonych papierosów, by od razu oddać się refleksji nad męczącymi wydarzeniami w pracy, gdy specjalna komisja badała pracowników pod kątem zgodności ich postawy z linią ideową partii. Robotnik chciałby odpocząć od codziennego znoju, jednak nawet w domowym zaciszu nie jest to możliwe, bo mierzy się z wszechogarniającą nędzą. Pewnym pocieszeniem staje się herbata, którą, jak zauważa, jego żona „kupiła jeszcze przed wojną”. Okazuje się, że z perspektywy zwykłego człowieka to, co eufemistycznie nazywano stanem wyjątkowym, jest po prostu okupacją. Nie zmienia tego wrażenia próba zrelaksowania się przed telewizorem:

Włączyłem telewizor na dziennik. Tak machinalnie wcisnąłem guzik i dopiero się zaczęło! Te brednie, kłamstwo. Szczególnie stężoną strugą dziś pociekło. Gęby spikerów uroczyście, namaszczone. Słowa pieszczą, z niezwykłą atencją różne kalumnie, obelgi i groźby wypowiadają (RSW 121).

Ostatecznie bohater, wzburzony propagandą władzy do granic wytrzymałości, postanawia pójść na spacer. Idąc ulicami warszawskiego starego miasta, zauważa szczęśliwe pary cieszące się ciepłym

wiosennym wieczorem. Jednocześnie zastanawia się nad sposobem funkcjonowania miasta, myśli o wszechobecnych patrolach i niestannych naciskach władzy, która próbuje zawłaszczyć nawet wiosenny wieczór, nie dając o sobie zapomnieć ani na chwilę.

Pokaz siły. To był nacisk psychologiczny. Jesteśmy. Czuwamy. Wszędzie. Tu w parku, pamiętam, jeszcze tydzień temu, szedłem sobie zamyślony i oni jak spod ziemi wyrosli. Trzech. Dokumenty. Długo sprawdzali. Patrzyli na mnie badawczo. A przecież była dopiero dziewiąta wieczór (RSW 122).

Co prawda przy okazji tego wspomnienia mężczyzna zauważa, że natężenie patroli zmalało, ale nie rozrzedza to atmosfery inwigilacji, której poddawani są mieszkańcy miasta. Tym bardziej, że podczas spaceru narrator opowieści zaczyna się zastanawiać nad swoim życiem i życiem młodych zakochanych par, siedzących na miejskich ławkach. Zadaje sobie retoryczne pytanie, ile warta jest młodość przeżywana pod pręgierzem władzy, która w każdej chwili może zaatakować. Ostatecznie pogrążając się w tych myślach, dochodzi do wniosku, że choć obecnie patrole są mniej aktywne, w każdej chwili może natknąć się na funkcjonariusza ZOMO. Po chwili mimowolnie przyspiesza kroku. Zaczyna iść szybciej, wręcz bieć, lękając się tego, co może wychynąć zza krzaka...

Nowakowski i tym razem nie sili się na moralitet, lecz zabiega o to, by oceny sytuacji wpływały w sposób naturalny z kreacji bohatera, jego przeżyć i w tym przypadku – jego myśli. Obraz paranoi uniemożliwiającej normalne funkcjonowanie i niszczącej codzienne życie w okresie stanu wojennego z jednej strony wywołuje śmiech, bo do pewnego stopnia wszechogarniająca złość bohatera jest wręcz komiczna, ale ostatecznie niesie za sobą powagę świadectwa o całkowitym wyniszczeniu człowieka, do którego doprowadza atmosfera ucisku. Ze wszystkich opowiadań zbioru *Raport o stanie wojennym* przebija atmosfera opresji, groteski, ponurej pułapki, w jaką wpadli Polacy w grudniu 1981 roku... *Raport o stanie wojennym* na zawsze pozostanie literackim testamentem tamtej epoki.

Bibliografia przedmiotowa

Antologie tekstów krytycznych poświęconych pisarstwu Marka Nowakowskiego:

Marek Nowakowski i inni: oblicza realizmu w prozie polskiej XX i XXI wieku, red. S. Buryła, J. Michałczenia, M. Urbanowski, Warszawa 2016.

Studia i szkice o charakterze syntetycznym:

Gontarczyk P., *Ćwierć wieku kłopotów z Nowakowskim*, „Rzeczpospolita” 2007, nr 65.

Kosiński K., *Wiwisekcja powszedniości: studium wczesnej twórczości Marka Nowakowskiego*, Warszawa 2014.

Kudyba W., *Miejsce i pamięć w późnej twórczości Marka Nowakowskiego. Prolegomena*, „Colloquia Litteraria” 2015, nr 2.

Madejski J., *Upiliśmy się serdecznie*, „Nowe Książki” 2006, nr 4.

Müldner-Nieckowski P., *Marek Nowakowski a problem „małego realizmu”*, „Topos” 2014, nr 4.

Historia i teoria literatury:

Błoński J., *Zmiana warty*, Warszawa 1961.

Czapliński P., *Kalendarium życia literackiego 1976–2000: wydarzenia, dyskusje, bilanse*, Kraków 2003.

Czapliński P., Śliwiński P., *Literatura polska 1976–1998*, Kraków 1999.

Nora P., *Między pamięcią a historią: lieux de memoire*, tłum. M. Borowski, M. Sugiera, „Didaskalia” 2011, nr 105.

Nowaczewski A., *Szlifibruki i flâneurzy: figura ulicy w literaturze polskiej po 1918 roku*, Gdańsk 2011.

Nota o autorze

Maciej Woźniak (Uniwersytet Kardynała Stefana Wyszyńskiego) – filolog polski, doktorant literaturoznawstwa na Uniwersytecie Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie. Przygotowuje rozprawę doktorską poświęconą twórczości prozatorskiej Bronisława Wildsteina. Stały współpracownik kwartalnika kulturalnego „Fronda LUX”. Autor artykułów naukowych i popularnonaukowych poświęconych współczesnej literaturze polskiej, między innymi: *Autentyczność i wolność. Marek Nowakowski jako literacki kronikarz najnowszej historii Polski* (w monografii *Polska niepodległa 1918–2018: księga rocznicowa z okazji 100 rocznicy odzyskania niepodległości*, 2018), *Sposoby ukazywania pamięci o Polsce we współczesnej prozie* (w monografii *Spółczesność polskie dziś: samoświadomość, uznanie, edukacja*, 2018), *Niedoszły księżę polskiego kina* (artykuł poświęcony adaptacjom filmowym prozy Marka Nowakowskiego, „Fronda LUX” 2016, nr 81).

Antologia
wyboru dokonał Maciej Woźniak

Ten stary złodziej

Synek czekał zapewne na kogoś przy kiosku. Mrużył oczy i spoglądał w wylot ulicy. Poszperawszy w kieszeniach, zapłacił za piwo. Właśnie wtedy z bramy naprzeciw wyszedł stary chłop o bladej, pomarszczonej twarzy. Od razu dostrzegł Synka. Przygarbił się trochę i przyspieszył kroku. Lecz Synek podbiegł, zastępując mu drogę.

– Siemasz – uśmiechnął się szeroko. – Czekałem. – Zaciągnął na piwo. – Pij – mówił – w taki gorąc nie ma jak piwo.

Stary zdmuchnął pianę, popijał drobnymi łykami.

– Dobrze, że przyszedłeś – powiedział Synek. – Mam coś na oku... – Przyglądał włosy i przysunął się bliżej. – Wypatrzyłem – szepnął – dobrą robotę... i pewną.

Stary otarł rękawem usta.

– Dobra robota – wtrącił, spoglądając gdzieś w bok – to jeszcze nic, musisz mądrze się zabrać... pamiętaj... – Zamilkł i dziwacznie skrzywił usta. – Polecę – mruknął, odstawiając kufel – spieszę się...

Synek chwycił go za rękę.

– Wiem – powiedział szybko – wiem, że trzeba brać się mądrze... właśnie dlatego – trącił staroego w pierś – chcę z tobą... Ty – rzekł z uznaniem – umiesz zabierać się do interesu... Pogadamy... – Pociągnął go silnie za guzik.

– Uważaj – mruknął stary – urwiesz. – Rozejrzał się wokoło. Wyciągnął chustkę. Gniótł ją chwilę w rękę i znowu schował do kieszeni.

– Myślisz, że wstawiam farmazon – obruszył się Synek. – Pamiętam – powiedział – jak pod celą opowiadałeś o robotach... Przecież spółdzielnia na Krochmalnej... – Zaśmiał się chytrze. – Wiem, wiem... ty ją załatwiłeś. Czysta robota – ożywił się bardzo. Poczzerwieniał. Na skroniach błyszczały kropelki potu.

„Gówniarz – pomyślał stary – gówniarz i tabaka”. – Szarpnął kołnierzyk.

– Nie lubię – burknął – mieć ciasno pod szyją. Nie lubię – powtórzył ze złością.

– ...To była czysta robota – posłyszał głos Synka.

– Ciszej – syknął stary złodziej – nie drzyj się tak. – Potem jakby wstydliwie dodał: – E tam, wcale taki kozak nie byłem.

- Byłeś, byłeś – upierał się Synek. Stary złodziej opuścił głowę.
- Moja – przypomniał – czeka z obiadem...
- Poszli za kiosk. Tam usiedli na beczkach. Zapalili. Synek przeciągnął się, aż zatrzeszczały kości. Był teraz zadowolony i pewny.
- Tylko ciebie uważam z tych wszystkich urków – mówił – bo inni to popaprańcy.
- Stary mruknął coś niezrozumiale.
- W ogóle – powiedział Synek – lubię starszych współników... oni, wiadomo...
- Ma się rozumieć – odezwał się stary złodziej i zdusił o beczkę niedopałek. W ustach czuł gorycz. Splunął.
- Jeszcze pod celą – ciągnął Synek – myślałem, żeby z tobą... Dobrze, że szedłeś – uśmiechnął się – zarobim razem.
- Stary złodziej słuchał z półotwartymi ustami.
- Nie mam już takiej wprawy – wtrącił. Zastanowił się. – Długo siedziałem...
- Synek usadowił się wygodniej. Podciągnął spodnie. Marynarkę złożył starannie i położył obok.
- Gorąco – mruknął.
- Stary z namysłem oglądał dłonie. Były suche, małe i niewypracowane.
- I nie znam chodów teraz – odezwał się – właściwie rozejrzałbym się jeszcze... – Spojrzał niepewnie na Synka, przełknął głośno ślinę. Grdyka podskoczyła mu śmiesznie.
- Synek przechylił się i poklepał go lekko po plecach.
- Ty nigdy nie pękasz – rzekł Synek. – Wiem – zakończył i ziewnął.
- Stary złodziej odwrócił głowę. Na balkonie ktoś trzepał z rozmachem dywan. Uśmiechnął się krzywo i sztucznie.
- Nie pękam – powiedział cicho – bo tyle już lat... to i przyzwyczaiłem się.
- Wyciągnął chustkę. Ocierał twarz.
- Synek rozkraczył szeroko nogi. Rozchełstana koszula odsłoniła jego owłosione i poznaczone tatuażami piersi.
- „Też go nazwali – zdziwił się stary – Synek”. Było to przecież chłopisko wielkie i nie takie młode, z gębą zarośniętą pod oczy.
- Jaka to robota? – zapytał, gniotąc chustkę – jaka?

– Komis – wyjaśnił Synek – ładnie stoi i nigdy jeszcze nie był robiony..

– Chodzę już długo koło niego – powiedział. Wstał i założył marynarkę.

„Wielki mi fachowiec – pomyślał stary złodziej – wielki...” – i schował chustkę.

Poszli spacerkiem. Synek spoglądał za dziewczynami.

– Jak zarobimy – gadał – to dziwek będzie, ile wlicze... Dziwki... – uśmiechnął się marzycielsko.

– Dziwki albo kratki – mruknął stary.

Skręcili w szeroką, zabudowaną nowymi blokami ulicę.

„Nabudowali tego – pomyślał stary. – Długo siedziałem”.

Synek wyrwał do przodu, kołyszając się po cwaniacku. Ręce założył za pasek, pogwizdywał.

„Z czego się cieszy? – zastanowił się ten stary złodziej – z czego?” – Zachmurzył się. Wzdłuż nosa ponuro żłobiły się głębokie bruzdy.

– Tutaj! – Synek zatrzymał się.

Interes był duży z dwiema wystawami. Za szybami aparaty fotograficzne, harmonie, materiały...

– Dużo – bąknął stary. – Same pokupne rzeczy. – Jego wyblakłe oczy ożywiły się nieco.

– Weźmiem trochę – szeptał Synek – parę paczek... a forsę z tego cały kurz...

Stary złodziej przymknął oczy. Policzką przywarł do chłodnej szyby. Nagle zwrócił się do Synka.

– Długo ty już siedziałeś? – zapytał. Synek zmarszczył czoło. Zastanawiał się.

– Będzie z trójkę – odparł. Popatrzył głupawo.

– Trójkę – powtórzył stary. Zaśmiał się bezgłośnie. – U mnie już dycha – powiedział, nie przestając się uśmiechać.

Twarz Synka wyrażała podziw. Przeszli się obok sklepu.

– Zrobimy go od tyłu – tłumaczył Synek. – Tam są drzwi...

– Wiadomo, że od tyłu – potwierdził stary zrzędlawie.

Odliczyli odległość od rogu. Było czterdzieści pięć kroków. Zaszli od podwórza.

– Tu – szepnął Synek. Przygryzł wargi i potarł ręce. – Tu – powtó-

rzył i wyciągnął rękę. – Trzecia klatka schodowa. Drzwi na lewo to drzwi do komisju... Już prawie nasz...

Stary przesunął ręką po chropawej ścianie.

– Wyważymy drzwi – mruknął.

– Jasne – potwierdził Synek. Podgarnął spadające na oczy kosmyki włosów.

– Jeszcze dziś – zaszeptał chrapliwie – jeszcze dziś zrobimy go... – uśmiechnął się radośnie.

„Pewniak – pomyślał stary złodziej. – Pewniak jak każdy młodziak”.

Skrzywił twarz, lecz bez złości. – Potrzebny jeszcze jeden – powiedział głucho – na „świecę”.

Synek miał takiego. W ogóle wszystko już miał przygotowane, graty też.

Stary zamyslił się.

– Z tobą – doszedł doń głos Synka – interes zrobimy na pewno. Wysmarkał się w palce.

– Cholerny świat – rzekł niespodzianie.

Synek zdziwił się – nie wiedział, o co chodzi, ale przytaknął starszemu współnikowi.

Powrócili na swoją ulicę. Zatrzymali się przed odrapanym pekinem.

– Pójdę do chaty – mruknął stary, patrząc w ciemną bramę, z której zalatywało kwaśnym smrodem. – Żeby tylko pewny interes – powiedział. Chrząknął. – Żeby pewny... I jeszcze nie wiem... – dodał, lecz urwał szybko.

Umówili się o zmroku. Synek miał zagwizdać z podwórza.

– Tylko nie wołaj – rzekł stary – bo nie chcę... – zmieszał się trochę – żeby moja... rozumiesz...

Synek zrozumiał.

– Wiem – zmrużył oczy – pękasz swojej baby...

Stary nie odpowiedział.

Mieszkał na drugim piętrze. Przed drzwiami postać chwilę. Patrzył z uwagą na wypisane kredą zatarte już litery K + M + B. „Trzeba poprawić” – uznał.

Nasłuchiwał, wreszcie wszedł. Jego baba odlewała wodę z ziemniaków. Była mała, zasuszona. Włosy spletała w koronę.

Usiadł przy stole.

– Wytarłbyś buty – mruknęła, nie odwracając się od kuchni. – Wy-

tarłbyś, brudzisz... – Odstawiła garnek i przyjrzała mu się uważnie. Oczy zmrużyła w kose szparki.

– Czego? – mruknął – czego tak ślepie wytrzeszczasz?... – Wyszedł na korytarz, starannie wycierał buty. „Taka nieporutna – pomyślał, wchodząc – a wielka cwaniara”.

Podawała zupę. Jadł bez smaku, grzebał łyżką w talerzu.

– Niedobra? – zapytała. Ręce otarła o fartuch i podeszła do stołu. Opuścił głowę.

– Nie tyle zła – rzekł – co gorąca...

Znów krzątała się przy kuchni. Wtedy odstawił talerz. Zaczął oglądać się w lusterku. Zerknęła nań. Macał brodę, tarł szczerć na policzkach, szczyrzył zęby.

– Staryś już – zaśmiała się nieprzyjaźnie. – Gruchot... i głupi – powiedziała po namyśle.

Lusterko przykrył chustką. Wyciągnął się na łóżku. Przez zmrużone powieki spoglądał na swoją kobitę. Myła statki, płukała pod kranem, drucianką szorowała garnek.

„Robotna – pomyślał – i charakterna... Jak trafię, to ubiorę ją jak panią... Wtedy powie, że nie jestem trąba... umiem zarobić... Futrzyśko kupię”.

Przymierzył do jej chudych, opadłych ramion. Uśmiechnął się miękko. Zauważyła ten uśmiech. Rozchyliła cienkie wargi. Zakłęła i znów zacisnęła usta.

Z podwórza dobiegł przenikliwy, gołębiarski gwizd. Stary złodziej dźwignął się z łóżka.

– Idę... – wymamrotał.

Patrzyła wyczekująco. Przygarbił się.

– Do kumpli – dodał.

– Już trzeci dzień – powiedziała – odkąd wyszedłeś... Łazisz i łazisz... i co z tego? – Wzięła się pod boki.

– Interesy – wyjaśnił.

Twarz kobiety stała się zacięta i obca.

– Twoje interesy – powiedziała – to same wpadki... Ukropu bym na łeb tym kumplom... – szepnęła.

Postał jeszcze chwilę, unikał jej wzroku. Gdy wyszedł, przechyliła się w oknie. Patrzyła w ciemność. Nasłuchiwała. Ciężkie, powłó-

czące kroki. Chyba jej starego. Usiadła sztywno na łóżku. Ręce złożyła na podolku.

Na dole stary złodziej zatrzymał się.

– Cholera! – zaklął przeciągle. Splunął.

W bramie czekał Synek z tym trzecim, który miał stanąć na „świecy”.

– Kto to? – zapytał stary. W zmroku trudno było dostrzec twarz.

– Kaszubiak – rzekł ten trzeci. Przywitali się.

– Kaszubiak? – zastanowił się głośno stary – znam, znam... z twoim ojcem siedzieliśmy w izolatce... Długo...

– Teraz – powiedział Kaszubiak – znów się władował... zakapowali...

Głos miał cienki, nieprzyjemny.

Usiedli na ławce pod ścianą. Obgadali wszystko. Teraz czekali tylko na głęboką noc. Poszli nad glinki. Wylegiwali się na trawie. Wypili ćwiartkę – był smak na więcej, ale nie wolno, bo robić trzeba po trzeźwemu... Kaszubiak wkrótce odszedł. Umówili się pod komi-sem. Było ciemno... Tu i ówdzie jarzyły się papierosy. Stary milczał, spoglądając w zagwieżdżone niebo. Synek pogwizdywał. Przestał i zaczął śpiewać. Śpiewał ochryple, fałszując.

– Wyłącz się – mruknął stary, zacisnął dłonie... – Ryby straszysz – dodał.

Zaśmieli się. Było cicho i ciepło. „Ładnie” – pomyślał stary.

Lekki wiaterek owiewał twarze. Nad glinkami zrobiło się już pusto. Odeszła ostatnia parka spleciona w uścisku. Zawyla syrena. Długo jeszcze leżeli. Wstali, postępując i poszli spacerkiem. Stary oddychał nierówno.

– Moja – szepnął – śpi już... albo... – zamyślił się.

– A moja – wtrącił Synek – czeka. Wie i czeka... Zdrowa jest. – W uśmiechu zabieliły się zęby.

Milczeli. Gdy doszli do tej szerokiej ulicy, stary rozejrzał się.

– Właściwie – powiedział – noc za jasna.

Znów długie milczenie i stukot ich butów.

– Ale niech tam – mruknął stary. Dyszał trochę. – Kawał drogi – rzekł – nogi wysiadają...

Synek poprawił zawiniątko z narzędziami...

– Czy aby wszystko wzięłeś? – zaniepokoił się stary złodziej.

– Lewarek – wyliczał Synek – łom, dłuto... – I jeszcze mówił, ale stary nie słuchał..

Minęło ich kilku spóźnionych przechodniów. Zaleciało wódką.

„Spieszą się – pomyślał stary – w kimę”. Obejrzał się za nimi, jakby – zazdroszcząc.

Za rogiem czekał Kaszubiak. Był podniecony, chciwie zaciągał się papierosem.

– Spokojnie – szepnął.

Jeszcze raz obgadali wszystko. Było bardzo późno. Chyba koło północy.

Ulica pusta. W dali majaczyła sylwetka „papugi”.

– Ten się nie liczy – rzekł Synek.

Skąpo oświetlała ich narożna latarnia. Pokazywała twarze młodych – wilcze, pełne oczekiwania, gębę starego – z cieniami kryjącymi się w bruzdach.

Nagle stary oparł się o ścianę. Wyglądał dziwnie.

– Co ci? – zapytał Synek.

– Żołądek – wymamrotał stary złodziej – nawala... ale już przeszło. Jeszcze bardziej pomarszczył twarz, chyba w uśmiechu...

Zaszli od tyłu. Stąpali cicho. Liczyli klatki schodowe. Zatrzymali się. Synek rozpakował narzędzia. Rozejrzeli się. – Spokojnie i bardzo cicho. – Zabrali się do drzwi. Podważyli kilka razy, lecz trzymały się mocno. Naparli silniej. Zgrzytnęły jak łamana kość. Hałas ten wypełnił czarny korytarz, a nawet wydawało się, że biegnie wyżej ze wzmocnionym natężeniem.

– Kurestwo – powiedział stary. Zadrżał przeniknięty tym hałasem. „Ostatnia robota – pomyślał. – Ostatnia robota... to zawsze denerwuje...” – pocieszył się. Popluł w dłonie i chwycił łom. Pot oblaził twarz, ogarniał gorący oddech Synka.

Drzwi ustąpiły. Pierwszy pchał się Synek... Nagle usłyszeli z ulicy przeciągły krzyk... w połowie urwał się. Krzyczał Kaszubiak.

Ostry gwizd. Warkot motoru.

– Pękamy – szepnął stary – pękamy... bo inaczej... – nie dokończył.

Rzucili się do ucieczki. Biegli, nie oglądając się. Za nimi nawoływania, gwizdki. Tupot wielu kroków. Już wpadli w boczną uliczkę. Były tam gruzy, a więc ratunek... Wtedy zabłyśły latarki. Zamrugali

powiekami. Wzięto ich ze wszystkich stron. Stanęli, oddychając ciężko. Chwycono ich za ręce. Wielu milicjantów.

– I to był pewny interes – wycharczał ten stary złodziej. – Ty gawniaku.

Zaniósł się duszącym kaszlem. Wytrzeszczył oczy.

„Ma stracha – pomyślał Synek – rozkleił się...” – Zachichotał złośliwie. Nałożono im na ręce kajdanki.

– A najgorsze – już spokojnie powiedział stary – że wpadliśmy z dowodem.

Potem popatrzył na sino błyszczące dybki i dodał ze złością:

– Nawet wysmarkać się nie można...

– Zgrywus! – rzekł jeden z milicjantów. Inni zaśmieli się.

Los

W tym miejscu nad glinianką było spokojnie i cicho. Cesiek Główka przygiął do ziemi żółte trzciny, cały kłęb trzciny przygiął, usiadł na tym chrzęszczącym dywaniku i oparł się wygodnie o akację. Czarną kozę przywiązał do przegubu dłoni. Zaczęła szczytać wątlą trawkę na zboczu.

– Kijowy los – powiedział Cesiek. Ten wielki, pleczysty chłop przygarbił się jakoś i twarz pokręcił mu niewesoły, trochę głupkawy uśmiech.

– Taki los to... w pysk, w serce, wszędzie – szeptał monotonicznie i zawzięcie. – Bo i co. Niby tyle różności, a nic nie ma. Gorzała, nie powiem, dobre to. Ale ciągle nie można chlać, kałdun wysiada, nery, motorek też. Więc wyskakujesz z gorzałkowania. Z babami to samo. Gnieciesz te cycki, sapiesz, drgawka cię łapie i tak możesz całą noc bez przerwy. Ale też do czasu. Potem mogę ci ten interes i na pysk położyć, nie ruszysz się nawet, nie bierze ani trochę. I tak dalej. Z wszystkiego wysiadasz, dwa jego w mordę mać. Gnijesz tylko i śmierdzisz. Sam smród zostaje.

– Sam – powtórzył i szarpnął postronek. Kozą zastrzygła kosmatymi uszami.

– Tak to jest. Wcale nie żaden farmazon. Nie jestem tabaka i na życiu znam się nieźle. I forse miałem, dużo czasem, harmonię pięćsetek, bawić się umiałem, a też cykoriowy nie byłem za bardzo i frajerów nieraz tłukłem. Za kłaki, sufitem, frajer pada na pysk. Umiałem się tłuc. Nie pękałem nikogo, bo wiedziałem – albo ty mnie, albo ja ciebie, innego siupu nie ma, więc pękać to raczej nie pękałem. Każdy to powie. Znają mnie chłopaki. Pamiętają. Do końca się tłukłem. Nie było zabawy w straży, żeby nie wystąpił. Nieraz dostałem w globus, nieraz zalałem się czerwoną. O, cały globus w dziurach.

Pochylił krótką, okrągłą głowę, rozgarnął jasne kłaki. Widać białe cętki blizn, większe, mniejsze, dużo tego.

– I w ciurmie też nie raz, nie dwa, i to wcale nie były żadne obozy, tylko ciężkie puszkę i nie bałem się nikaki, jego w mordę mać. Rok nie wyrok, dwa jak za brata. Wiedziałem, odsiedzę, wyskoczę, nic

mi nie zrobią, zdrów jestem, miechy mam jak dzwon, a i motor nic nie nawala. Więc i głodować mogłem, dziesięć dni głodowałem, dwadzieścia też, w karcu wiele razy, ale nic się nie bałem. Smutno tylko trochę, no bo kraty, za kratami fajne życie, dziwki, gorzała, ale nie za bardzo tym się gryzłem. Na betonie też mocno spałem jak na materacyku najlepszym i żarcie więzienne opychałem za dwóch. Wyrok się kończył, wyskakiwałem za bramę, zapalałem pierwszą fajkę na wolności i mówiłem sobie: dobra jest. Widziałem od razu wszystkie te zabawy, wodę, dziwki, siupy, które będę robił...

Od początku, myślałem, zaczyna się wielki bal.

Muzyka, słońce, flaszka pod papieroska, opalę się na murzyna, będę leżał od rana do wieczora na gliniankach, pływał crawlmem, po kozacku, delfinem, dobry byłem w delfinie, nawet tacy z klubu gadali, że ładnie i poskaczę sobie porządnie z tej najwyższej wierzby. Już widziałem siebie, jak opalony na brązowo łażę po brzegu, co lepsze sztuki podrywam, chłopaki mi zazdroszczą, bo mam nowe, piękne wzorki, ślicznie klute, przez git fachowców klute... Kanada, nowa Kanada, powtarzałem sobie, i śpieszyłem się do chaty, jak cholera się śpieszyłem, bo czekało na mnie wszystko przecież, i zupka też czekała, pierwsza klasa, taka specjalna zupka, a w ogóle obiadek taki pierwszy sort, co zawsze matka na moje wyjście robiła. Wskakiwałem w tramwaj, nawet w największym biegu mogłem wskoczyć, faceci tylko głowami kiwali, bo fachowo, jak należy wskakiwałem...

Ten Cesiak Główka szarpnął koszulę, rozchyliła się szeroko na piersiach, wynurzył się siny tatuaż, gwiazda, kobieta o małpiej twarzy, jej nogi rozrzucone szeroko, taki wulgarny, często spotykany wzór.

– Ale dwa jego w mordę mać – powiedział zawodząco, jakimś psim, smętnym głosem – do czasu ten bal. Teraz już nic nie mogę, za Boga Ojca nie mogę.

Odechciało się, rozpieprzyło się wsio. Siedzę tylko w chacie, w tej swojej chacie, stara wyszła za handlem, ona trochę handluje warzywami na placu, palę fajkę, dym nie smakuje, gaszę, wyglądam przez okno, tak godzinami wyglądam, nie chce mi się nigdzie iść, nic mi się nie chce. Więc tak siedzę, nawet w głowie nic mnie nie męczy, pusto we łbie, ten czas leci, już wieczór, stara wróciła, narzeka, że tak siedzę, nic nie robię, kolację zaczyna gotować, bo u nas żre się na gorąco wieczorem, po kolacji też siedzę przy oknie, już

wszystkie światła zgaszone, czarno na naszej ulicy. Czasem jakaś dziewczyna z chłopakiem przejdzie, po głosach rozpoznać można, tylko latarnia na rogu jeszcze świeci, bardzo późno już, cichutko ładuję się do kojka, graby podkładam pod głowę i leżę, nie od razu mogę zasnąć, przypominam to i owo, jak to kiedyś na zabawie kuflem w czerep mnie trzasnęli, krew patrzyłki zalała, ale drapnąłem za krzesło i tym frajerom duży łomot krzeselkiem spuściłem, albo w tej „Warszawiance”, cośmy się założyli o stówaka, kto flaszkę wypije za jednym razem, i wypilem, to i śmo jeszcze sobie przypominam, no i wreszcie sen łapie, czasem jeszcze, już tak pół we śnie, o fajnej kobiecie pomyślę, takiej tłustej z dużym zadkiem, miękka jak poducha, dobra... Zawsze lubiłem takie. Ale żeby to mnie męczyło, żebym tak chciał – wstanę, pójdę do kumplów, o nie... Pomyślę troszkę i zasypiam. No i następny dzionek, jeszcze następny, już cały tydzień zleciał, cieszę się, dlaczego, nie wiem, ćwiartkę sobie w niedzielę na sen wypijam, sam tę ćwiartkę wypijam, bo po co mi towarzystwo, czasem tylko starej dam kielicha, ona lubi se chlapanąć. I leci to wszystko jak w więzieniu, pajdka, kima i dnia nima, tylko w takim dobrym więzieniu, jak sanatorium, co to i wyjść można, i w ogóle żadnego apelu, karca, klawiszów nie ma, takie niby więzienie albo sanatorium, a właściwie jeszcze coś zupełnie innego, czy jakaś inna taka polka branzlówka...

Już ze dwa latka tak żyję, starej trochę pomagam, te warzywa przywiozę, buraki, pietruchę, cebulę, na placu postoję, pohandluję, tę kozinę czarną nad stawem pasę, dwa jęgo w mordę mać...

Ściągnął sznur z dłoni i przywiązał do akacji. Ta czarna, brudna koza ułożyła się wygodnie w gliniastym wgłębieniu, raz po raz strzygła kosmatymi uszami i spoglądała na niego ludzkim, głupim wzrokiem.

Zdjął buty, zanurzył stopy w zbełtanej wodzie, poruszał nimi przewaliście jak wiosłem.

– Dobrze to – skrzywił twarz – ciepła woda, fajnie dla palców, tak przepłukać sobie... Na niejednego to przyjdzie – dodał cicho – musi przyjść, a wtedy kłapa, tak jak wyrok najdłuższy, dożywotka... Już do końca nie ma żadnego sposobu, gryzie to czasem, męczy w środku, chciałoby się skoczyć, tłuc łbem, wyc i zacząć wszystko jak kiedyś, od początku zacząć albo skończyć w ogóle. Ale to już zależy od cha-

rakteru, ja mam taki, że już ruszyć się nawet nie mogę, za Boga Ojca nie mogę, i z tym moim charakterem to na to nie ma żadnego sposobu, żadnego. I w ogóle raczej nie znajdzie się mądry na to.

Choć był taki jeden kosior, co nie mógł tego wytrzymać, i walczył, ostro walczył. On Pepo miał przezwisko. Taki mały, chudy jak patyk kozaczek. Siedział w dużych wyrokach, wesoły zawsze był, umiał żyć, wychodził z puszki, zarabiał nieźle, umiał kombinować, znów wpadał, bo w takim życiu to i najlepszy kosior musi wpaść, ale nigdy nie łamał się. I też naszło go to, cholernie naszło. W wyroku akurat był niedużym, półtora roku, zdaje się, że dostał, przy końcu tego wyroku, co to zresztą za wyrok, parę dni, i nic więcej, miskę wyrzucił na korytarz, żyć nie chciał, łbem wybił kafle z pieca, umazał się sadzą, przenieśli go do pojedynki, siedział w tej pojedynce i ostrzył o beton blachę, blacha już ostra jak brzytwę, cieniutka, włoski ścina, on myśli: no, teraz akurat, już można. I zaczął się kroić, wypuszczał żyły, brali go na szpitalkę, zszywali te żyły, wiązali graby, ale on zawzięty był, a już sobie postanowił, i rznął się abarotno, oni pilnowali go, wszystko, co ostre, zabrali mu z celi, leżał wtedy w szpitalnej pojedynce, brzuch miał świeżo zszyty, bo i flaki też sobie wypuszczał, mówił, lubię, jak te flaki tak dymią i z bebecha wyskakują, jak kabel jakiś – śmiał się przy tym ten Pepo jak szczur, drobne ząbki pokazywał, on cholernie się zawziął, taki mały konus i chudziak, a wielka w nim krzepa była. Więc pilnowali go te wszystkie klawiszę, pielęgniarze i daktory, a on gdzieś kawałek żyletki skombinował i schował pod językiem, poleżał se spokojniutko pod kocykiem, poczekał, aż odejdą, i wtedy się porznął, jak poszli sobie, i jak się porznął, mądralka, żyły zapałką podważał, bo mały miał kawałek żyletki, i wtedy dopiero kroił. Poharatał się mocno, przykrył kocykiem i znów leży cichutko, pewnie dobrze mu było, cieszył się, coraz lepiej, na pewno taki rzadki się zrobił jak mgiełka albo jakby sen go złapał łagodny, przyjemny, co same fajne rzeczy się majączą. No i nie udało mu się. Ta czerwona strugami spod koca ciekła i zobaczyli. Odratowali. Nie wyszło mu to, co chciał.

Co teraz robi, nie wiem, może następny siup wyszedł mu na czysto, ale nie wiem na pewniaka, raczej wyszedł, bo się zawziął, a i osłabiony był, to i niewiele mu już brakowało do końca.

Fajny był chłopak, siedziałem z nim, oblatany, równy, ostatnią fajką się podzielił, opowiadać umiał filmy, taki mały suchy, z łapkami jak dziewczynka.

Zapalił papierosa.

– Ale ja bym tak nie mógł – mruknął – nie każdy może iść na takie numery, nie to, żeby strach, czy coś, tylko raczej mnie to nie pasuje.

Zawinął spodnie i głębiej zanurzył nogi w burej, zmąconej wodzie.

– Zupełnie nie pasuje – silnie poruszył stopami, woda zabulgotała. Westchnął z zadowoleniem.

– Ciepła woda, dobra.

Uniósł stopy i wytarł o trawę.

– Wykąpać by się warto kiedy. Wstał.

– Późno już...

Czarna koza też się podniosła.

Grad

Dom Kultury nazwali Świątynią Sztuki. I nawet druki z takim napisem sporządzili. To był pomysł Jarosława Śnitki. Śnitko żył nadal w świecie niespełnionych artystycznych rojeń. Poezja, malarstwo, ekslibrysy... Wszystkim po trosze się zajmował i wiecznie żywą miał w pamięci atmosferę rodzinnego domu we Lwowie, gdzie na ścianach wisiały ozdobne, w secesyjne winiety, dyplomy i fotografie matki, znanej operowej śpiewaczki, a ojciec przyjaźnił się z poetką bohemą. Stąd pełne zgiełku, cytatów i alkoholu rozmowy w rodzinnym domu ciągle dźwięczały mu w uszach. I do tego czasu zachował klasyczny wygląd cygana-artysty, długie włosy, szpakowate i gęste, opadały na kołnierz, aksamitny fontaż, stroje niedbałe i dziwaczne. Gdzieś na dnie świadomości wiedział Jarosław Śnitko zapewne, że nic z jego artystycznych aspiracji już nie wyniknie. Za późno przecież i nigdy właściwie nie miał możliwości zająć się swoją ukochaną sztuką przez duże S wyłącznie i do końca. Wcześniej zdany na samodzielność, dorabiający korepetycjami student polonistyki, a później najbardziej niszcząco przeorała mu biografię wojna, konspiracja, obozowe perypetie, tamte właśnie doświadczenia wyrobiły w nim trwałą niewiarę w skuteczność ludzkich pragnień i upodobanie do kieliszka, które głużyło strach i pustkę. Więc po wojnie jego pogląd na życie cechował łagodny sceptycyzm i absolutny brak chęci do angażowania się w cokolwiek. Z tego powodu awanse w pracy kulturalno-oświatowej (a w tym był naprawdę rozmiłowany) omijały go starannie. Bo gdy panował schematyzm, buntowała się artystyczna przecież natura Śnitki przeciw zalecanym do recytacji na zajęciach zespołów artystycznych wierszom pozbawionym zupełnie poetyckiej urody, werbalnym i ordynarnie agitatorskim. Toteż nieraz z tych utworów szydził w sposób delikatny i przewrotny, budząc w swoich podopiecznych podobne wrażenia. Wydając natomiast książki czytelnikom powiatowej biblioteki, omijał starannie najnowsze pozycje, zalecając przede wszystkim XIX-wieczną literaturę ze szczególnym naciskiem na umiłowanych przez siebie Francuzów. Po latach, kiedy zrewidowano oficjalny pogląd na

sztukę, Śnitko wykazał brak zaufania i z poczuciem dystansu oraz ironii przysłuchiwał się krzykaczom-reformatorom. Nie bardzo im wierzył, bowiem jego poczucie estetyki i wierności swoim ideałom nie pozwalało mu uwierzyć ludziom, którzy przed chwilą jeszcze wykrzykiwali zapalczywie coś wręcz przeciwnego. Stał więc Jarosław Śnitko na uboczu, chudy, z brzydkimi wyrzutami na twarzy i łupieżem osypującym się gęsto na kołnierz marynarki. Dopiero wtedy gdy kierownikiem powiatowego domu kultury został mianowany Franek Grad, eksficer i wczesny rencista, Śnitko odżył i ożywił się znacznie. Odżył w sensie poczucia swojej wartości, a ożywienie zaczęło cechować jego artystyczno-pedagogiczną działalność.

Wiązało się to właśnie z osobą rubasznego Franka Grada, którego nawet, paradoksalnie z pozoru, Jarosław Śnitko polubił serdecznie. Powód sympatii tkwił w małym rozeznaniu i pewnej nieśmiałości Franka Grada w sprawach kulturalnych. Właściwie Jarosław Śnitko stał się rzeczywistym kierownikiem placówki, wykazując niemało inwencji i zdolności organizacyjnych. Franek Grad mało się tym interesował, przywiązując natomiast zasadnicze znaczenie do urządzania swego gabinetu, wygłaszania dziarskich i ogólnikowych przemówień na odprawach pracowników domu kultury oraz starannie przestrzegając zagajania wszelkich imprez w stroju paradnym, ze wstążeczkami odznaczeń w klapie. Posiadał jeszcze kilka pomniejszych słabości, które świetnie poznał Jarosław Śnitko, i żonglując nimi umiejętnie, karmił próżność kierownika. Chociażby to gęste tytułowanie: – Panie dyrektorze... – z odpowiednią intonacją, niezmiennie sprawiało Frankowi błogą przyjemność. Następnie ten chytry zwyczaj: – ...taki jeszcze mam projekt do pańskiej aprobaty... – chodzić mogło o plan pracy, tematy odczytów, zajęcia w kółkach zamiłowań, konkurs czytelniczy itp. Franek Grad rozsiadał się wtedy wygodnie za biurkiem (gabinet urządził sobie imponujący, palma, bordo dywan, kilka telefonów i piękne, oszklone szafy z rzędami grubych tomów) i powiadał: – Dobra, zastanowię się nad tym... – Śnitko pochylony w ukłonie wychodził i od razu wiedział, że jego projekt został przyjęty, a sprawa zastanawiania się stanowi konwencję w ich wzajemnych stosunkach. I wreszcie to wysłuchiwanie z udanym podziwem wojennych opowieści zwierchnika. Sam Jarosław Śnitko niechętnie czas wojny wspomi-

nał, w tym upatrując nade wszystko tę złą siłę, która zniszczyła jego marzenia i górnolotne zamiary.

Ponadto dobrze i bezpiecznie mu było przy szerokich znajomościach Franka Grada, który był za pan brat z różnymi osobami z powiatu, a nawet województwa, na polowaniach czy popijawach często z nimi się spotykając. Wracał zwykle z tych spotkań ożywiony i radosny, a w chwilach zwierzeń tak mówił: – Chwilowo na tym posterunku stoję, rozumiesz... Wyżej niedługo podskoczę... – i dorzucał poufnym szeptem: – Bo tak ciągle nie będzie, rozumiesz... – walił go mocno w plecy, następnie zacierał z suchym szelestem dłonie.

Zwierzeń szefa słuchał Jarosław Śnitko nieuważnie i z pewnym znudzeniem, tylko plecy bolały go nieco od krzepkich poklepywań podpitego Franka.

Ten stan rzeczy trwał dosyć długo i być może ta błoga harmonia uspiła rozeznanie i bystrość Jarosława Śnitki.

Przyjechał właśnie we wtorek, nazywany w ich nomenklaturze (pomysł Śnitki oczywiście) Wieczorem Dysput Helleńskich, znany historyk sztuki z odczytem o impresjonistach. Impreza wypadła nad wyraz dobrze, należyte zabezpieczona frekwencja i zupełnie sensowna dyskusja. Po wieczorze Jarosław Śnitko, pełen uwagi i uznania dla dorobku i pozycji prelegenta, oraz Franek Grad w skrzypiących butach, brązowym garniturze, ze wstążeczkami odznaczeń w klapie, jako gościnni gospodarze podjęli gościa wódką w restauracji. Popijało im się miło. Nawet Franek Grad poczuł się dosyć swobodnie w towarzystwie „tego inteligenciaka, ale równego chłopca”, jak go sobie ocenił. Śnitko natomiast dwoił się i troił w radosnym podnieceniu. Po prostu przypomniawszy mu się jego lwowska młodość, pierwsze porywy i szumne marzenia o przyszłości. Równocześnie wiedzę z zakresu historii sztuki miał rozległą i doskonałą pamięć. Z satysfakcją dostrzegł parokrotnie uznanie w oczach historyka, kiedy tak ze swadą rozprawiał o ciekawostkach z biografii Degasa czy korespondencji Zola – Cézanne.

Franek Grad, podpisawszy sobie więcej, też chciał wziąć udział w rozmowie i na oko określiwszy wiek prelegenta jako odpowiedni do pamięci o wojnie, spróbował zapytać go o przeżycia z tamtego czasu. Już sam na końcu języka miał barwne epizody ze swego życia. Ale z boku Śnitko pyta historyka o jakiegoś malarza z kręgu

kubistów. I już obaj pogrążeni w ożywionej rozmowie. Przygasł Franek Grad i nachmurzył się nieco. Potem słyszał fragmentami, jak Śnitko recytuje wiersze. Głos miał Jarosław Śnitko czysty i dźwięczny. Sposepniał Franek jeszcze bardziej i tak niby przypadkiem poruszył się gwałtownie, i szturchnął Śnitkę w bok. Ale ten nic nie poczuł, pogrążony w recytacji, aż żyły węzłały mu na szyi z wysiłku. Następnie prelegent recytował wiersze. Jeszcze później rozmawiali o ulubionych swoich autorach współczesnych, nazwiska, tytuły, zapamiętane wrażenia.

Wtedy wypił szklaneczkę wódki Franek Grad, poruszył się na krześle i powiedział nienaturalnie głośno: – Tyle tych książek rozmaitych, tylu tych literatów, żeby tak wsio przeczytać, to człowiek czasu by nie miał na tę robotę kulturalną w naszej powiatówce... – Prelegent przytaknął zdawkowo. W tym samym momencie wydało się Frankowi, że wymienił jakieś porozumiewawcze spojrzenie z Jarosławem Śnitką.

Poczerwieniał silnie i niby dobrodusznie, ale przymykając oczy, bo w nich pojawiły się złe błyski, pogroził pięścią Śnitce.

– Ten to czyta. Dużo czyta. Za mało do roboty go pędzę...

Śnitko nieuważnie tego wysłuchał i ręką poruszył niecierpliwie, a swojego wątku nie przerwał. Gdy skończył, głos prelegenta:

– Imponuje mi pan rozległością swojej wiedzy, kolego...

Franek zapragnął napić się wódki. Butelka jednak pusta już. Rozejrzał się po stole. Kieliszki też opróżnione. Akurat przechodziła kelnerka. Ale nic u niej nie zamówił. Wyprostował się na krześle i walnął pięścią w stół. Tamci przerwali rozmowę.

Wtedy Franek Grad powiedział dobitnie: – My tu gadu, gadu, a na stole puchy... No, Śnitko, sypnij się po wódkę...

I popatrzył na niego po swojemu, dobrodusznie, ale szczęki mocno zacisnął. Śnitko zwiotczał jakoś i blask w jego oczach zgasł naraz. Zerknął wstydliwie na prelegenta.

A Franek Grad dodał po chwili: – No, prędej... – I niby żartem uszczypnął go boleśnie w policzek.

Śnitko wstał posłusznie i pobiegł po wódkę do bufetu. Prelegent spojrział na kierownika po raz pierwszy z zainteresowaniem.

Franek Grad rozsiadł się wygodniej, nogę na nogę założył i uśmiechnął się szeroko do prelegenta, błyskając białym, zdrowym

uzębieniem. Przychylił się do niego i rzekł: – Może i wie on dużo, no, tego, w sztuce ma rozeznanie, książki, malowidła i temu podobne, naczytał się, chudзина... Ale organizator, znaczy się kierownik, to ja tutaj jestem. Trochę mu popuszczam, ale zawsze mogę... – pstryknął palcami i jeszcze szerzej się uśmiechnął.

I gdy wrócił Jarosław Śnitko z wódką, inna to już była rozmowa. Perorował Franek Grad i różne swoje przygody opowiadał, po wyczerpaniu tego tematu przyszedł do kawałów o kobietach i księżach, a co pewien czas, nie patrząc na Śnitkę, rzucił krótkie polecenie: – Polewaj! – Jarosław Śnitko napełniał kieliszki.

Był teraz osowiały, ze zwieszoną głową, tylko czasem z trwożliwym zastanowieniem przypatrywał się czerwonemu na twarzy, z falistą czupryną, szerokiemu w plecach Frankowi Gradowi – i nawet nie uśmiechnął się na widok białych kałesonów z dyndającymi trokami, humorystycznie wyłazających spod spodni jego kierownika.

Później Franek Grad upił się i na rękę chciał się brać koniecznie z prelegentem.

– Zdejmij okulary i wystąp... – wykrzykiwał, za nic już mając powagę i dostojność gościa.

Tamten umknął jednak ze swoją prawicą. Wtedy Franek Grad schwycił rękę Jarosława Śnitki, bez wysiłku przygwoździł ją do stołu i powiedział: – Widzisz...

Śmierć żółwia

Niewyraźnie czuł się już od rana. Nie fizycznie, skąd, ze zdrowiem najzupełniej w porządku. Ale takie dziwne miał uczucie, że niby spokojnie i zwyczajnie, nic się nie dzieje, a jednak... Coś nie tak... Dlaczego w środku taki bulgot, jeszcze nieznaczny, ale już dokuczliwy? Dlaczego oko na niczym nie może znaleźć spokojnego oparcia? A myśl przeskakuje z tematu na temat... Dzień był ciepły, ładny. Jesień. Okno i drzwi na balkon otwarte. Wrócił z biura i odpoczywał. Zasłużone rozluźnienie po dniu dość męczących zajęć. Przyjemny przeciąg, bo i okna w innych pokojach również otwarte. A właśnie, wraz z tym przeciągiem wibracja niepokoju też wzmocniona. Stan wrzenia. Wypełniał całe jego wnętrze. Bzdura w tym jakaś. Nie mógł odpoczywać. Nieruchomo jeszcze gorzej. Wstał z fotela i spacerować zaczął po przekątnej pokoju. Tkwiło w nim niezwykle ważne pytanie, które nie sformułowane ostatecznie, wydobywało się ze spodu niepokoju, przez cały czas nie mogąc oblec się w komunikatywną formę. Jak cierń to pytanie.

– Psiakrew... – powtarzać zaczął.

I wtedy z balkonu wypadł żółw. Nawet przed chwilą wydawało mu się, że widział go, jak również spacerował, to znaczy pracowicie przemierzał pokój, wolniutko i mozolnie przesuwając swą archaiczną skorupę. Wnet jednak przestał się nim interesować. A właściwie wcale nie był pewien, czy widział go w ogóle. Drzwi na balkon otwarte, ale nieraz były otwarte i nie miało to żadnego znaczenia. Umocowana tam była solidna deseczka-próg, która uniemożliwiała stworzeniu wydostanie się na balkon. Ponadto wchodził w grę instynkt przecieź, żółw nigdy tego progu nie przekroczył. Dawniej nie było deseczki i na balkon nie wychodził wcale. Więc choć nie był pewien, czy go widział, to słuch jednak zarejestrował charakterystyczny chrobot jego łap przesuwających się po gładkiej podłodze. Towarzyszył mu ten chrobot przez cały czas. I zaraz krzyk dzieci na podwórzu. Początkowo nie zwrócił na to uwagi. Krzyk jak krzyk, dzieci ciągle hałasowały i zdążył się już do tego przyzwyczaić.

Ale w tym krzyku począł rozróżniać: – Żółw! Żółw!

Nasłuchiwał.

Wyraźnie: – Żółw!

Wpatrzył się w balkonowe drzwi. Deseczka-przegroda tkwiła na swoim miejscu.

Znowu: – Żółw, żółw! – wrzeszczą na podwórzu.

Deseczka tkwiła na swoim miejscu, może tylko nieco odsunięta. Czyżby wspiał się na nią? Zahaczył przednimi łapami, ciężar skorupy przeważył i w ten sposób znalazł się po drugiej stronie.

Wyjrzał z balkonu. Dzieci otaczały ciasną gromadką miejsce na podwórzu tuż pod jego balkonem. Gestykulowały zżywieniem. Przepychały się i pochylały nisko.

Tak jak stał, w podkoszulce i kapciach, pobiegł do wyjścia. Przeskakiwał po trzy stopnie, pędził na dół. Rozepchnął dzieci. To był żółw jego syna. Popękana w wielu miejscach skorupa, ciało pod spodem zmiażdżone i zakrwawione. Wysunięta do przodu głowa. Też zmiażdżona, zatraciła swój kształt, spłaszczona i poszarpana jak ochłap.

– Nie żyje... – spierali się chłopcy – żyje...

Pochylił się i wpatrzył w tę krwawą masę, poprzątaną zielono-brunatną skorupą.

– Nie żyje – stwierdził.

Chłopcy dalej przepychali się w podnieceniu. Jeden z nich patykiem dotykał głowy żółwia, cofał rękę, znowu powtarzał tę czynność. Wyrwał mu patyk, odrzucił daleko. Rozglądał się niezdecydowany. Widział wlepione w siebie spojrzenia chłopców. Wreszcie dał im na lody, prosząc, żeby nie wspominali o tym smutnym zdarzeniu jego synowi.

– Pamiętajcie...

Pokiwali domyślnie głowami Dla podkreślenia wagi tego sekretnego sojuszu po kolei uściśnął im dłonie. Mocno, po męsku. A jeden z piętek ośmielony tym, nawet mrugnął do niego porozumiewawczo.

Wyprowadził z garażu wóz. W bagażniku znalazł wysmarowaną olejem szmatę. Owinął w nią żółwia. Ułożył to zawiniątko na siedzeniu obok. Znalazł też z tyłu na półce stary, porwany płaszcz. Narzucił na gołe ramiona, był przecież w podkoszulce tylko. I w pośpiechu, obawiając się, żeby nie zastał go syn, wyjechał z podwórza. Skierował samochód na główną ulicę i myślał usilnie, co robić dalej. Postanowił pogrzebać żółwia w rozległym parku od strony południowej.

Miejsce to wybrał ze względu na ustronność i dogodny dojazd z centrum. Zaparkował wóz przy jednej z bocznych bram. Było tu pusto. Tylko kilkanaście metrów dalej, przy tablicy z fotosami jakiegoś filmu, stali trzej młodzieńcy zajęci ożywioną rozmową. Otworzył bagażnik, wyjął saperską łopatkę i ostrożnie uniósł z siedzenia zawiniątko. Rozejrzał się czujnie. Młodzieńcy nadal pograżeni w rozmowie. Nikogo poza nimi. Nawet samochody z rzadka przejeżdżają tą ulicą. Rozchylił szmatę i popatrzył. Popękana skorupa, delikatny jej deseń poznaczony krwią, szarawa miazga pod spodem, najlepiej zachowały się łapy powleczone pomarszczoną skórą starca.

Nagle wzdrygnął się, porażony nieznacznym ruchem tej miazgi. Skurczyła się. I błysk oka w niej. Ale nie wiadomo. Mógł to być tylko refleks świetlny i nic więcej. Znieruchomiało wszystko. Złudzenie zapewne. Cień parkowych drzew, ruch listowia na wietrze mógł przecież spowodować pozory tego drgania. Zdecydowany i uspokojony ruszył do parku. Wybrał alejkę wzdłuż sadzawki. Kilka kobiet z dziećmi. Staruszek wsparty na lasce czyta gazetę. Ktoś rzuca pokarm łabędziowi majestatycznie sunącemu wodą. Dalej za sadzawką kępa krzewów. Dotarł tam i przedzierając się przez kolczastą gęstwą głogów, odkrył maleńką polankę. Miejsce to wydało mu się odpowiednie. Dla sprawdzenia wbił łopatkę w ziemię. Piaszczysty, łatwo ustępujący grunt.

I choć już był pewien, jeszcze raz ostrożnie rozchylił szmatę. Najpilniej wpatrywał się w głowę, oczekując na błysk oka. Martwe oczy ożywią się naraz. Żółw popatrzy na niego otchłannie... Nic podobnego nie nastąpiło jednak. Ale na wszelki wypadek postanowił jeszcze poczekać. Zostawił te krwawe, skorupiaste szczątki na szmacie i wyszedł z kępy krzewów na alejkę.

Przechadzał się nerwowo, paląc papierosa. Zaszeleścił żywopłot otaczający teren zabaw dla dzieci i kilka postaci przemknęło przez trawnik. Pobiegli alejką. Zniknęli za drzewami. Obejrzał się i popatrzył z roztargnieniem. Nic już nie zobaczył. I tak przechadzając się szybkim, gwałtownym krokiem, rozmyślał o synu i żółwiu. Zbliżał się czas egzaminów i chłopiec będzie zajęty. Może więc nie zapyta o nic. A żółw przecież, kiedy żył, nie pokazywał się nieraz całymi dniami, buszując gdzieś w zakamarkach mieszkania. Prowadził se-

kretne życie i o jego istnieniu świadczyła jedynie sałata wyjadana systematycznie z kąta pod zlewem... Poczł dokuczliwy ucisk w skroniach. Ciągłe ta wibracja niepokoju w nim. A pustka jesiennego parku, którą tak zawsze lubił, wydała mu się dziś przygnębiająca i obca. Omijając spojrzeniem purpurowozłoty przepych liści, widział tylko trupią nagość drzew. Tak patrzył długą chwilę... Między drzewami szyderczy uśmiech kamiennego fauna, zastygły w kamieniu grymas. Powiał wiatr, liście przesłoniły rzeźbę.

Ocknąwszy się, wrócił na to wybrane miejsce wśród kępy głógów.

Już nic w żółwiu nie poruszało się ani niepokoiło pozorem życia. Tylko nie leżał na szmacie, ale w trawie obok. Zostawił go przecież na szmacie. Nie był jednak pewien... Łopatką saperską począł wywalać piach. A dokopawszy się do znacznej głębokości, spocony i ubrudzony ziemią jak grabarz, złożył tam żółwia owiniętego w szmatę i zasypał.

W niedzielne, wczesne przedpołudnie rozległ się natarczywy dzwonek u drzwi. Był jeszcze w piżamie i krzątał się po kuchni, parząc kawę. Cisza w mieszkaniu, żona spała, syn u siebie w pokoju. Dzwonek powtórzył się. W tej ciszy niedzielnej zwielokrotnił się jego dźwięk. Ogarnął go niepokój. Dłoń trzymająca filiżankę zadygotała, rozlała się kawa. Ruszył do przedpokoju. Ale z wahaniem, niepewnie. Skradał się właściwie. Przystanął i nasłuchiwał. Ktoś za drzwiami. Kaszel, nierówny oddech. Niezgrabnymi nagle palcami mocował się z zasuwą. Otworzył. W progu stała niemłoda kobieta w czarnym płaszczu. Milczała. Przyglądała mu się przenikliwie. Szybkim ruchem otworzyła wypchaną torbę, wyjęła notatnik, przeczytała coś półgłosem. Haftowaną zakładką oznaczyła miejsce w notesie, schowała z powrotem do torby. Wymieniła jego nazwisko. Potwierdził.

– Jestem z Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami – powiedziała donośnie.

Mierzyła go czujnym spojrzeniem. Gestem wyraził zdziwienie z powodu jej wizyty.

– Przyszłam w sprawie żółwia...

– Pstt... – odruchowo przyłożył palec do ust.

– Za późno – powiedziała tym przenikliwym, donośnym głosem.

Mocno zacisnął dłonie, chcąc opanować przykry dygot pleców. Dłonie wilgotniały. Wstrętna, zimna wilgoć.

A ona, ta kobieta, bez słowa tym razem odsunęła go lekko i weszła do wnętrza.

Oszołomiony jej zaborczym zachowaniem, machinalnie wskazał drogę do kuchni, najdalej znajdującej się od pokoju, w którym był syn.

Usiadła przy stole, nogi ustawiła szeroko, po męsku, z torby ponownie wyjęła notatnik i długopis.

– Jakich jeszcze udzieli wyjaśnień odnośnie sprawy? – spytała bezosobowo.

Długopis już w pogotowiu nad papierem.

– Ależ... ja nic nie rozumiem... – powiedział – to jakieś nieporozumienie... idiotyczne nieporozumienie... – powtórzył.

Parsknęła złośliwym śmiechem.

– Otóż to... – stuknęła długopisem w stół – wielkie nieporozumienie właśnie... Chować zwierzęta i w taki sposób je wykańczać...

Przeniknięty jej głosem-żyłką, znowu odruchowo przyłożył palec do ust.

Przewróciła kilka kartek notatnika. Zaczęła czytać, ciągle ostro i przenikliwie:

– „W dniu 3 IX bieżącego roku zrzucił obwiniony żółwia z balkonu V piętra. Fakt powyższy zaobserwowały dzieci bawiące się na podwórzu. Następnie udał się obwiniony samochodem marki «Skoda» numer rejestracyjny 35463 do parku miejskiego numer 3 i tam dobił nieszczęsne stworzenie w sposób bestialski za pomocą saperskiej łopatką. Po dokonaniu powyższego czynu zakopał żółwia... – uczyniła długą przerwę, jakby szykując szczególnie cenny strzał – ...zakopał żółwia, powtórzyła (błogostan satysfakcji na jej końskiej twarzy) – ...jeszcze żywego, na co są świadkowie, trzech uczniowie Technikum Chemicznego, którzy widzieli, jak to biedne stworzenie – głos jej zadrgał po aktorsku bólem i przejęciem – tuż przed zakopaniem poruszyło kilkakrotnie łapkami. Oni to również byli świadkami mordu przy użyciu łopatką saperskiej – głos oskarżycielki stężał metalicznie – i wstrząśnięci tym głęboko, zanotowali numer pojazdu mechanicznego obwinionego...” – stuk, stuk, wybiła kościstymi palcami o krótko obciętych paznokciach takt w stół.

Siedział ogłuszony absurdalnym oskarżeniem. Skulił się pod kłującym spojrzeniem kobiety. Dłonie były zupełnie mokre, coraz

wycierał je o spodnie.

Skończyła czytać, wsunęła do notesu haftowaną zakładkę. Rozejrzała się ciekawie po kuchni.

– Cytryny? – zainteresowała się. – Gdzie pan nabył? Tak trudno przecież...

Obejrzała cytryny, musnęła dłonią. Równie nagle przeniosła wzrok na niego i uśmiechnęła się przebiegle.

– Zatkąło pana, co? Nie myślał pan, że dojdziemy... Ja! – stuknęła się w płaską pierś, obciążniętą czarną, zapyloną materią – ...zawsze dojdę. Na przykład w zeszłym roku ukamienowali psa i utopili w gliniance. Wieczorem, nikogo nie było, tacy byli pewni. I co! Wytropiłam... A tamto było jeszcze trudniejsze. Równocześnie z jej triumfalnym zawołaniem posłyszał w przedpokoju głos syna. Ogarnął go strach. Za chwilę syn wejdzie do kuchni. Ta upiorna baba zacznie gadać. Głos syna bliżej.

Strach rósł. Poderwał się z krzesła, pochylił się nad kobietą.

– Przyjąłem do wiadomości – wyrzucił zdławionym głosem. – A teraz proszę stąd wyjść, natychmiast!

Przez chwilę mrugała wodnistymi oczyma. Zdziwiona. Być może, nie przewidywała takiej reakcji. Ale nie ruszyła się ze swego miejsca.

Wtedy, ponaglony krokami w przedpokoju, zacisnęła palce na jej kościstym ramieniu.

– Już!

Zaśmiała się złowieszczo.

– Owszem, pójdę. Ale z tego sianem się nie wykręci – znowu wróciła do formy bezosobowej. – Już ja przypilnuję...

Wstała, popatrzyła na niego z pogardą. Korytarzem szła bardzo wolno. Myszkowała wzrokiem wokół. Zajrzała w uchylone drzwi pokoju, w których stał syn. Znowu zawrzał w nim popłoch. Wypychać ją zaczął za próg.

– Będzie sprawa – powtarzała, zapierając się nieco. Oderwał jej suchą, żyłastą dłoń od framugi. Zatrzasnął drzwi.

– Bestia! – słyszał jeszcze.

Oparł się o ścianę. Dyszał ciężko. Łapał powietrze jak ryba na piasku.

– Kto to? – zainteresował się syn. – Tak dziwnie wyglądała. Cała czarna. Jak wrona.

– Sęp – odpowiedział bez namysłu. I zaraz zobaczył sępa z odra-

zającą, gołą szyją. Krąży nad padliną. Słyszał też jego skrzek, łopot skrzydeł. Cień tych skrzydeł padł na niego. Uciekł. Ale wróci na pewno. Tylko kto tutaj padliną?

Syn patrzył na niego ze zdziwieniem. Opanował się z trudem.

– Inspektorka... Z ubezpieczeń. Od pożarów, kradzieży i tak dalej... – skłamał jękając się i mrugając nerwowo oczyma. – Nachalne babsko...

Urwał i przywarł do ściany. Jakby szelest tam na zewnątrz. Czyżby stała jeszcze? Wpatrzył się w dziurkę od klucza. Ostrożnie uchylił drzwi. Nikogo...

Była to popsuta niedziela. I przypomniał sobie zdarzenie wcześniejsze.

W trzy dni po pogrzebaniu żółwia wracał jak zwykle po południu z pracy. Zaczepił go dozorca. Tak nagle wysunął głowę ze swego okienka, jakby od dawna już czekał na niego. Początkowo, swoim zwyczajem, chrząkał i popluwał. Następnie zatarł dłonie i uśmiechnął się zagadkowo.

– Należy mi się... – wydukał wreszcie.

– Co? – zdziwił się wtedy.

– Na piwo – odparł dozorca.

I znowu milczał, ciesząc się jego zaciekawieniem.

– Przegnałem takich jednych. Pański wózek oglądali. Ale jak nachalnie! Ze wszystkich stron. I numer sobie zapisali. A ja do nich, nie do sprzedania ten wóz, obywatela...

Słuchał i zainteresowanie wygaszło. Nie kojarzył tego z niczym. Kapusiowska życzliwość ciecica po prostu.

– Dziękuję – powiedział obojętnie. – Wyciągnął portmonetkę. Ale cieć znowu zachrząkał, dając sygnał, że nie koniec jego informacji.

– Dzieciaków z podwórza też maglowali. Podchodzili na słodko, cukierki im, panie... Coś oni kompinowali, łachudry... Baba i chłop. Stare toto... Ale ja ich...

Dozorca uśmiechnął się porozumiewawczo i wykonał zamasztysty ruch miotłą.

Dopiero teraz przyjął napiwek.

– Niech szanowny pan uważa – powiedział jeszcze – rozmaicie bywa...

Nic nie mógł wtedy pojąć. Jeszcze wszystko niby w porządku.

Niby normalnie. Ale już zbierały się chmury. Złowrogie ostrzeżenie w tych słowach dozorczy. Jego sens wieloznaczny i niepokojący. Majaczyła mu przed oczyma koścista, końska twarz inspektorki-szpicla.

A sałatę pod zlewem zmieniał co kilka dni. Wieczorem, kiedy żona już spała, syn zaś zabawiał się hałaśliwym big-beatem z magnetofonu, wychodził ze swego pokoju i skradając się jak złodziej, docierał do kuchni. Starą sałatę chował w gazetę, zza pazuchy wyciągał świeżą, drobił ją nieco i szarpał, rzucał do miski pod zlewem. Potem ostrożnie, bardzo cicho opuszczał kuchnię. Tę starą sałatę owiniętą w gazetę wkładał do teczki i rano wychodząc do pracy wyrzucał gdzieś po drodze. Była to gra pozorów dla syna. Ale nie tylko. Jeszcze coś więcej... Nie chciał się jednak nad tym zastanawiać.

Pochylił nad rysownicą, oznaczał cyrklem punkty, obliczał suwakiem odległość. Pracował nad projektem pawilonu letniskowego. Ale myśl była gdzie indziej, od czasu do czasu spoglądał na telefon. A potem machinalnie zaczął wertować książkę telefoniczną. Odszukał numer. Zawahał się chwilę. Jednak wykreślił. Czekał długo, już chciał odłożyć słuchawkę... Głos. Ogarnęło go podniecenie. Zająknął się z tego podniecenia. Przedstawił się jako interesant w sprawie niecierpiącej zwłoki. Po tamtej stronie linii wahanie, niechęć, brak czasu, może jutro... Prosił natarczywie, coraz bardziej podniecony. Uzyskał zgodę na wizytę.

Więc tego wieczoru wybrał się do dzielnicowego zarządu Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami.

Był niespokojny. Denerwował go ten stan. Czynił go przecież w jakiś sposób podejrzanym. Próbował myśleć o sprawach błahych i wesołych. Przywołał w pamięci niedawny wyjazd do Kazimierza. Jednak to wspomnienie przychodziło z trudem, było mgliste, poszarpane i wcale niewesołe.

Podążał ciemną ulicą, gdzie jeszcze zachowały się przedwojenne, secesyjne kamienice, poznaczone jak ospą śladami pocisków. – „Zarząd Towarzystwa...” – odkrył w jednej z bram tabliczkę. Strzałka wskazywała podwórze. Minąwszy oświetloną zielonym światłem figurę Matki Boskiej, dotarł do piętrowej oficyny. Znowu strzałka. Przenikliwy jęk. Stał jak wryty. Skąd ten głos? Z czarnej jamy

piwnicznych drzwi może? Zwierzęcy, ludzki? Już nie powtórzył się. Ale w uszach ciągle wibrował jak echo. A może przesłyszał się? Może w nim ten krzyk?... Ocknął się. Powoli stąpał po wyslizganych schodach. Mieszkanie na parterze. Trzeszczy drewniana podłoga. Drzwi masywne, z łuszczącą się farbą. Obok zlew, jak to bywa w starych domach. Kapie woda. Na drzwiach wypisane kredą K + M + B.

– Farsa... – powiedział półgłosem.

To stwierdzenie przyniosło trochę spokoju. Nareszcie trochę spokoju. Nawet się roześmiał. Zadzwoił. Mosiężna kołatka w kształcie lwiej paszczy. Rozległo się powłóczące człapanie. Drzwi uchyliły się nieco, ale dostępu do wnętrza bronił jeszcze łańcuch. Głowa, która pokazała się w szczelinie, była łysa, twarz różowa i jowialna, z rzadką bródką w szpic. Wyjaśnił powód swego przybycia. Bystre oczki za okularami zamigotały. Brzęknął łańcuch. Znalazł się w ciemnym korytarzu, śmierdzącym kocim moczem i stęchlizną.

– Jestem prezesem... – przedstawił się stary człowiek i pociągnął go za rękaw w głąb korytarza.

Mijali skrzynie i paki, pobrzękujące graty, stopy pism i książek.

Coś ciepłego i puszystego przesunęło mu się po stopach. Wzdrygnął się.

– Świnka morska – wyjaśnił prezes.

Weszli do półkolistego pokoju, umeblowanego ciężkimi, fortecznymi meblami w stylu gdańskim. Na biurku, za którym zasiadł prezes, wylegiwał się łśniący, czarny kocur. W tekturowym pudle pod wieszakiem dostrzegł również kotkę karmiącą kocięta. A wkrótce spod fotela wynurzył się budy kundelek i zaszczekał niemrawo.

Prezes wskazał mu krzesło. Gładził czarnego kocura po brzuchu. Kot mruczał i rozkładał łapy. Jego błogostan udzielał się prezesowi. Jakby też pomrukiwał. Równocześnie bystre oczy lustrowały przybysza. Z aprobatą śledziły jego rękę, która czochoać poczęła kundelka. Cicho skrzypnęły drzwi i weszła otyła kobieta w kwiecistym szlafroku. Głowę miała w papilotach, w kąciku ust szklana lufka z papierosem.

– Znowu się zaostrzyło – gwałtownym haustem nabrała powietrza, w płucach zagrała bronchitowa orkiestra. Wsłuchiwała się z niepokojem.

– Za dużo palisz, duszko – rzekł prezes.

Kocur uniósł puchatą głowę i fosforycznie zaświeciły mu oczy.

– Kotulki, łapulki... – przymilnie zagulgotała gruba kobieta.

Prezes przeglądał jakieś papiery, podkreślał, zaznaczał cyferki na marginesie. Ułożył z nich staranne stosiki.

– Ciężki dzień jutro... – westchnął.

– Czy plenum? – spytała kobieta. Pokiwał z frasunkiem głową.

Na niego nie zwracali zupełnie uwagi. Tylko raz oczy kobiety spoczęły czujnie na jego dłoni gładzącej wyliniałego kundelka. Kundelek zadowolony z tej pieczyoty. Kobieta odwróciła głowę, uspokojona.

Rozglądał się po tym ciemnym, zagraconym pokoju, oświetlonym tylko mosiężną lampą z abażurem w kształcie hełmu rzymskiego czy greckiego wojownika. Przyjrzał się kocurowi rozwalonemu na biurku. Jedno ucho miał poszarpane w strzępy, a u nasady ogona krwawą, nie zagojoną ranę. Ohydnie to wyglądało. Bury kundelek zasnął u jego stóp.

– Są to zwierzęta uratowane ze szponów sadystów – dobitnie objaśniła kobieta w kwiecistym szlafroku.

– W ostatnim momencie – dodał prezes. Patrzyli wyczekująco na niego. On i ona.

– Więc państwo sędzicie... – zaczął rozdrażniony tymi spojrzeniami – że ja żółwia...

– Ja nic nie sędzę... – przerwał prezes. – Fakty...

– Sprawa żółwia! – ożywiła się kobieta w kwiecistym szlafroku. Jej tłusty biust począł falować. Przysunęła się bliżej z krzesłem. Słyszał jej bronchitowy, rżący oddech. Opanował się z trudem. Dłonie zacisnął na poręczach krzesła. Nagle i niezauważalnie ta groteskowo-humorystyczna atmosfera pokoju poczęła emanować jakąś grozą. Trudno to określić, jednak groza gęstniała. Przypomniał ten jęk przed wejściem do oficyny. Pocierał raz po raz spoczone dłonie o poręcze krzesła. I oczy poczęły mu latać jak ptaki, omiatając trwożliwie ludzi, zwierzęta i sprzęty w tym ciemnym, ponurym pokoju.

– Kto złożył raport? – usłyszał głos kobiety.

– Nasza najlepsza inspektorka – odparł prezes – pani Kama.

Oboje popatrzyli na siebie wymownie, jakby pragnąc podkreślić nieodpartą wartość raportu sporządzonego przez inspektorę Kamę.

– Pani Kama... – powiedziała z zachwytem kobieta w kwiecistym

szlafroku. – Już ona wszystko wywęszy!

A w nim ponownie fala niespokojnej bezradności. Rozluźnił krawat, kołnierzyk koszuli dusił go. Szarpnął. Trzask, oderwał się guzik. Jeszcze się nie poddawał. Dla uspokojenia spróbował ośmieszyć sobie tych dwoje zdziwaczałych, starych ludzi. Ich miny, ta bródka w szpic, te papiloty, raporty, papiery...

Ze sztuczną nonszalancją poprawił się na krzesło, założył nogę na nogę.

– Proszę o głos – powiedział ironicznie. Prezes z całą powagą:

– Udzielam.

– Otóż muszę rozczarować szanownych państwa – zaczął – albowiem to posądzenie mnie o zamordowanie nieszczęsnego żółwia jest idiotycznym nieporozumieniem. Przykrym równocześnie z powodu nieudolności, tak muszę powiedzieć, tej najlepszej rzekomo inspektorki Towarzystwa, nieudolności graniczącej z nieznamomością swoich obowiązków, polegających przecież na tropieniu sadystów znęcających się nad zwierzętami. A których to sadystów grasuje niemało, mogę to powiedzieć z całą odpowiedzialnością na podstawie własnych obserwacji. Nieudolności tym poważniejszej społecznie, że właśnie tylu ich jest wokół. A inspektorka Kama... – wymienił jej imię z pobłażliwością, mógł pozwolić sobie na ten żarcik – włożyła mnóstwo daremnego wysiłku w fałszywy trop. Fałszywy, bo oparty na fikcyjnej podstawie, jaką było oświadczenie młodzieńców wałęsających się w pobliżu miejsca, gdzie pochowałem tragicznie zmarłe stworzenie. Młodzieńcy ci powodowani fantazją, jak również polujący na tanie efekty, sprowokowali wyssaną z palca mistyfikację o rzekomym mordowaniu żyjącego jeszcze żółwia. Łopatkę saperską, której użyłem jedynie do pogrzebania go... – tu znowu uśmiechnął się z pobłażliwą wyższością i zrobił efektowną pauzę.

Mógł sobie na to pozwolić, bowiem oni: prezes i ta gruba – słuchali go chciwie, przysunięci do siebie, dłoń prezesa znieruchomiała na grzbiecie kocura, gruba kobieta ssała zagasłego papierosa.

– Spowodowało to również – podjął i niedbale wskazał na papiery zalegające biurko – obfitą i niepotrzebną dokumentację rzekomego zdarzenia, co też zabrało państwu wiele cennego czasu... – skłonił się lekko.

Spojrzenia tych dwojga utwierdzały go coraz bardziej w przekonaniu, że jego wypowiedź, precyzyjna i logiczna, uczyniła na nich

pozytywne wrażenie. I mówić zamierzał w tym duchu dalej. Właśnie zaczerpnąwszy oddechu, uznał za stosowne uczynić pewien gest ręką dla otwarcia nowej kwestii. Kwestii dotyczącej oburzenia z powodu tych wszystkich insynuacji krzywdzących jego dobre imię. Tak też uczynił. Ten gest zbudził czarnego kocura. A może nie to nawet, tylko jakiś koci, przykry sen. Kocur z krwawym stygmatem u nasady ogona wstał nagle i wygiął grzbiet w pałąk. Wielkości był imponującej. Patrzył na niego opalizującymi ślepiami. Przyjął to obojętnie i gest powtórzył. Może gwałtowniej niż pierwszym razem. Też zbyt mocno uderzył dłonią w oparcie krzesła. Wtedy kot odskoczył jak sprężyna i zaszczał nieprzyjaźnie. Ci dwoje z Towarzystwa wpatrzyli się w kocura. Zafascynowani wprost magnetycznie. Na domiar złego śpiący u jego stóp kundelek obudził się również, ze strachem popatrzył na kota i powarkiwać zaczął coraz głośniejsze. Wtedy właśnie cały jego spokój, opanowanie i rzeczowość – pierzchyły nagle. Poczul się osaczony ciasno i bez wyjścia. Równocześnie narodziła się w nim złość. Złość i wstręt. Więc pochylił się gwałtownie i chwycił czarnego kota za ogon. Przycisnął mocno, za sam koniec. Z jakąś mściwą, okrutną satysfakcją. Kot miauknął przeraźliwie. Puścił. Kot uciekł pod krzesło grubej kobiety.

Uspokoił się zaraz, ale mówić już nic nie mógł. Ogarnęło go wielkie znużenie. Takim ciężkim, beznadziejnym gestem poruszył ręką. I znieruchomiał martwo.

Gruba w szlafroku wyprostowała się i składając wymownie dłonie, zwróciła się do prezesa. Stary pan pogładził bródkę w szpic, westchnął, uniósł się nieco w fotelu i powiedział oficjalnym, surowym głosem:

– Niestety, pani Kama tym razem też nie omyliła się.

– Trop był właściwy! – wykrzyknęła histerycznie gruba w kwiecistym szlafroku. Namiętym gestem przytuliła do swego biustu kocura.

– Moje kotulki, łapulki... – zabalgotała cienko. – Alf mój kochany... Bolało, już nie boli? – dopytywała czule. I mówili już tylko do siebie, nie patrząc na niego. Był poza dialogiem. Po prostu rozważali sprawę. Ciągłe czuł znużenie i ich głosy docierały jak ze znacznej odległości. A kocur Alf, na powrót senny i apatyczny, ułożył się wygodnie na łonie grubej kobiety, łeb oparł o jej biust i zasnął. I znowu rozległo się ciche perkotanie, ten dźwięk kociego lenistwa i rozkoszy.

– Nie tylko notatka sporządzona przez panią Kamę z relacji młodzieńców świadczy o przestępstwie – zaczął prezes – ale również dzieci z podwórka, rozpytywane na tę okoliczność, zeznały zgodnie, że żółw wyrzucony przez obwinionego z balkonu żył jeszcze...

Gruba kobieta uśmiechnęła się triumfalnie. Mocniej przytuliła kocura.

– Ja sam kiedyś – prezes zniżył głos, mówił jakby prywatnie, nieoficjalnie – byłem prokuratorem... I mnie trudno nabrać...

Gruba w szlafroku popatrzyła na niego z podziwem.

– Dzieci, relacja świadków to jeszcze nic – prezes machnął niedbale ręką. – Ale najważniejsza jest psychologia sprawcy, jego zachowanie...

Nie dokończył, bowiem on wstał, odsuwając z łoskotem krzesło.

– Dość, dość! – wyrzucił zduszonym głosem.

Zbudził się kot. Zbudziła się kotka i pies.

A jego ogarnęła wściekła chęć kopania, tłuczenia, rozszarpywania...

Przymknął oczy, żeby nie patrzeć na pyski ludzi i zwierząt, jednakowo odrażające, jednakowo straszne. Zataczając się, ciągle z zamkniętymi oczyma, jak lunatyk, popędził do korytarza. Kocur Alf wyrwał się z ramion grubej kobiety, pies wcisnął się pod fotel.

Akurat bawili się całą gromadą na podwórzu. Nie zauważony przez nich wsunął się do garażu. Podniósł maskę samochodu. Niby manipulował przy silniku. A cały czas patrzył na chłopców. Bawili się wrzaskliwie. Chudy, piegowaty stacza pojedynek z nieruchawym grubasem. Krąży wokół niego, obskakuje. Dopada go raz po raz i wali celnie. Tamten broni się na oślep. Młóci pięściami powietrze. Piegowaty chwyta go i przewraca na ziemię. Chłopcy przeciągłym wyciem ogłaszają zwycięstwo piegowatego. Piegowaty porusza się leniwie i sprężyście. Niczym drapieżna bestia. Pomaga wstać pokonanemu przeciwnikowi. Zbliżył się do chłopców. Ręce wsunął do kieszeni i zatrzymał się niby przypadkowo.

– No, jak tam? – zaczął niepewnie.

Popatrzyli ciekawie.

– Dobrze się bawicie? – brnął dalej.

– W porządku – odparł ten chudy, piegowaty, o beczelnym spojrzeniu. Wyglądał na ich przywódcę.

On wahał się. Nie wiedział, co mówić dalej. Poczul się bardzo zmieszany. Wydawało mu się, że ten piegowaty domyśla się wszystkiego.

– Pamiętacie – zdobył się na odwagę – jak to było z tym żółwiem?..
Milczeli i patrzyli wyczekująco.

– Podobno przychodzili jacyś... Pan i pani... I pytali o to, prawda?
Chłopcy zerknęli na piegowatego. Piegowaty kiwnął głową.
Mogło to znaczyć: potwierdza. A równie dobrze: słucha tylko, po-
wstrzymując się od swojej opinii.

– No więc – wpatrzył się z napięciem w piegowatego – powiedzie-
liście, jak to naprawdę wyglądało? Wypadł z balkonu, i tak dalej,
wicie doskonale przecież...

Piegowaty uśmiechnął się. Bezczelny, zimny uśmiech, a w oczach
dalej wyczekiwanie.

Opuścił głowę. Nie mógł znieść tych drańskich oczu.

– Widzieliśmy – odezwał się wreszcie piegowaty. – Widzieliśmy,
jak wypadł z balkonu... – z namysłem ważył słowa. – Ale dlaczego
wypadł?

On uniół głowę. Nerwowym, bezsensownym gestem począł strze-
pywać niewidoczny pył z kłapy marynarki. I patrząc z bezsilną nie-
nawością na piegowatego, odszedł szybko. Wrócił do garażu. Ukryty
za maską samochodu, nasłuchiwał. Szepczą. Wybuch śmiechu. Głos
piegowatego. Ten głos przenikał go najbardziej. Tupot kroków. Po-
biegli gdzieś. Zapanowała cisza. Wtedy odważył się opuścić garaż.
Przemknął do bramy, a stamtąd na schody.

Siedząc samotnie w pokoju, posłyszał szelest lekki i skrobanie.
Drgnął gwałtownie. Był to odgłos identyczny z tym, jaki wydawał
żółw, spacerując i ślizgając się po wyfroterowanej posadzce. Długo
się nie oglądał, jednak odważył się wreszcie: pusta, pobłyskująca
przeźrzenie podłogi. Zaczął wpatrywać się z napięciem w zaka-
marki pokoju, oczekując, że zaraz wynurzy się On. Wolno, pracow-
icie przebierając pomarszczonymi łapami, pokaże się na środku
pokoju i uniesie łeb.

Dopiero po długiej chwili uprzytomnił sobie, że żółwia nie ma
już przecież. Ale ten chrobot powtarzał się natarczywie. To tu, to
tam... Oczy skakały mu jak piłeczki, polując za tym dźwiękiem.

Wstał i z pochyloną nisko głową skradać się począł. Wzdłuż szafy,
tapczanu, regałów. Nasłuchiwał. Niepokój wibrował w nim coraz na-
tarczywiej. Nie mógł tego znieść. Szczelna, ciasna klatka czterech
ścian pokoju i ten chrobot.

Więc z tym dźwiękiem przykrym w uszach opuścił mieszkanie.

Cicho korytarzem. Ostrożnie przekręcił klucz w zamku... Szybkim, płochliwym krokiem dotarł do tego pamiętnego miejsca pod balkonem. Pamiętał doskonale. Tutaj spadł żółw. Teraz ciemna plama występowała na betonie. Wyraźnie ciemna plama... Pochylił się. A może to cień tylko pada! Sprawdzał. Odsuwał się i przysuwał. Dotykał. To nie cień jednak. Krew wżarła się w beton i zaciemniła to miejsce. Trwały ślad... Kroki w pobliżu. Odkoczył jak ścigany.

A kiedy wybiegł do bramy, zastąpił mu drogę dozorca. Uśmiechał się jak zawsze, może tylko bardziej porozumiewawczo. Chrząkał i smarkał też jakby intensywniej. Stali patrząc na siebie. On z niepokojem, spocony i pełen najgorszych przeczuc. Czyżby widział, jak stał nad tą plamą?

– Mam coś dla szanownego pana – wydukał dozorca. Pauza. Wsparł się na miotle. Patrzy w górę. Patrzy na dół.

– Był taki jeden... – ściszył głos – starszy jegomość. Z Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami, znaczy, pokazywał legitymację...

– I co?! – nagle gorąco w nim, fala za falą, serce tłucze się jak młot.

– A pytał, jakie szanowny pan miał zwierzaki, jak się z nimi obchodził, zapisywał sobie...

– Taki z bródką w szpic? – zapytał.

Dozorca nie usłyszał pytania.

– Pewnie jakaś ankietyzacja – zakończył. – Może podatek za zwierzaki chcą podnieść czy co... – Ale ślepiec miał takie nachalne, domysłne, jakby wiedział coś więcej. I buciorem swym wielkim zmiażdżył zgniłe jabłko leżące w progu bramy. Zgrzyt podkutego buciora.

Wykrzywił się w bolesnym grymasie. Miał uczucie, jakby był piłowany tym zgrzytem.

A czoło dozorca poznało się mnóstwem wzniesień i rozpadlin znamionujących trudny namysł.

Więc stał przygnieciony tym niepojętym ciężarem, patrzył w buciór wgniatający brązowe jabłko w beton, przenosił wzrok wyżej i widział niskie czoło, poradzone szpetnie, chytre jakieś i przerażające.

Dozorca pochrząkał współczująco i odszedł.

Mijał się z synem w przedpokoju. Nagle chłopiec zatrzymał się, jakby coś sobie przypomniał. Też stanął przy ścianie, ale nie odwraca głowy.

– Tatusiu... – powiedział syn – a gdzie jest właściwie nasz zółw?

Wtedy już się odwrócił. I od razu uderzyło go to spojrzenie chłopca. Badawcze i uważne. Zaniepokoiło go to spojrzenie. Takie uporczywe.

Nie wiedział, co odpowiedzieć. Począł miętosić w palcach papierosa.

– Gdzie on jest? – powtórzył syn. – Co się z nim stało? Już tyle dni go nie widziałem...

Nadal nie wiedział, co odpowiedzieć. I z coraz bardziej dławiącego poczucia osaczenia wybuchła w nim złość.

– Żółw! Żółw! – wrzasnął.

To ciągle spojrzenie syna. Nie mógł znieść.

– Do lekcji! – krzyczał coraz głośniej. Bierz się do lekcji! Egzaminy za pasem, a on... – już tylko bełkotał. Przybiegła żona. Oboje jednakowo zdumieni tym wybuchem, wpatrywali się w niego.

Opanował się z trudem i odezwał się cichym, zmęczonym głosem:

– Żółw... No tak... Pewnie myszkuje gdzieś pod szafami... – bardzo chciał uspić ich podejrzenia. – Albo śpi... One lubią spać... nieraz tygodniami... – I unikając ich spojrzeń, szybko otworzył drzwi swojego pokoju.

...Posłyszał szmer za plecami. Obejrzał się ostrożnie. Z podwórza zbliżał się do niego piegowaty chłopak, przywódca zgrai. I zatrzymał się w odległości kilku metrów. Na podwórzu nie było nikogo. W bramie też. Tylko on i piegowaty. Gorączkowo, całą siłą wpatrzył się w oczy piegowatego. Szukał porozumienia. Błagał o porozumienie. Ale w oczach piegowatego nie znalazł nic prócz zimnej, bezwzględnej ciekawości. Migotały obco, niebiesko, aż stalowo.

Ostrożnie postąpił pół kroku.

Piegowaty drgnął, cały sprężony do ucieczki.

Wtedy uśmiechnął się do niego przymilnie. Tym uśmiechem podkreślał swoją uległość i dobrą wolę. W taki oto sposób szykował zasadzkę. Bo przecież chodziło mu o coś zupełnie innego. Piegowaty rozluźnił się nieco. Wtedy postąpił krok, pół... Cały czas uśmiechał się. Ale pod tym uśmiechem czaiła się nienawiść. I chyba piegowaty wyczuł to, bo drgnął znowu. Ale on już był przy nim. Chwycił chłopaka za kłapy bluzy. Twarz piegowatego z bliska wyglądała wstrętnie. Szczurza i przebiegła. Z sekundy na sekundę

coraz bardziej odrażająca. Przyparł go do ściany. Piegowaty zaskowyczał. A on już walił nim o mur jak łachmanem. Coraz silniej. Coraz zapalczywiej.

– Powiedz, musisz powiedzieć... jak było naprawdę! – wołał. Czuł pod ciosami ciało piegowatego. Ciepłe, miękkie. Wczepił palce, zaciskał okrutnie...

Obudził się zlany potem. Więc to tylko sen, ogarnęło go uczucie podobne do rozczarowania.

Pewnej nocy męcząc się w bezsenności, w takim ni to śnie, ni jawie, zadał sobie nagle pytanie, które olbrzymieć poczęło i dusić swym znaczeniem.

– A może ten żółw podczas zakopywania żył jeszcze?

Wynurzyło się natarczywe przypomnienie żółwia. Jego kaprysy, zwyczaje, archaiczny kształt skorupy, ta pomarszczona skóra starca i oczy, twarde, okrągłe. Czy ich poznawał? Czy zauważał w ogóle...

– Czy też żółw podczas zakopywania żył jeszcze? – pytanie powtarzało się bez końca.

Zacierało dotychczasową, znaną mu rzeczywistość zdarzenia, tworząc obszary rozległe i nie do opanowania. Właściwie nowy wymiar sprawie przydawało, groźny i przepastny...

Wracał właśnie z pracy i taka w nim potrzeba nagła, nieprzeparta. Chwycił dozorcę za rękaw, potrząsać zaczął silnie.

– ...A ten z parteru... – mówił gorączkowo – no wie pan, spod piątego, cóż on wyczynia ze swoim psem, to przecież sadysta, tłucze smyczą, kijem, czym popadnie, taka pasja okrutnika, tylko skowyt ciągle słycać, spać nie mogę, albo widział pan, co te dziewczynki ślusarza z vis à vis wyprawiają z kotem, za ogon i do góry, za łeb i o ziemię, jak tak można, łoskot po prostu słycać, aż huczy, dudni, a nikt tego nie widzi, absolutnie nikt... – wzburzony coraz bardziej – albo wozacy, ci węglarze, okładają dragami swoje szkapy, maltretują, dręczą, katują... – już wyciągał z kieszeni notes, tam miał wypisane jeszcze inne fakty, konkretne fakty właśnie, dotyczące znęcania się nad zwierzętami i adresy sprawców. Ale wtedy przyszła refleksja: po co mówi to wszystko? Zmieszał się i urwał swój zapalczywy monolog. Zapadło milczenie. Dozorca wciąż jeszcze kiwał głową. Wzrok miał nieco wystraszony i po chwili powiedział niepewnie: –

Po co się tak denerwować... Nie ma o co... – Unikał teraz spojrzenia dozorca. Z udanym zafrasowaniem spojrzął na zegarek i odszedł z równie udanym pośpiechem.

I ogarnęło go wspomnienie z dzieciństwa...

W małym miasteczku, gdzie się wychował, wiosną wrony w parku likwidowali. Parkowe drzewa gęsto oblepione gniazdami. Chodzili z długimi kijami, strącali nimi gniazda. Rozpaczliwe krakanie. Wokoło unosiła się chmara wron-matek. Gniazda spadały na ziemię, a w nich pisklęta szare z żółtymi dziobami. Czasem jeszcze jajko, a ze skorupy mokry łeppek wystawał. Miasteczkowe łobuziaki deptały ptasie jajka gołymi piętami.

Zatrzymał się i wzdrygnął, przeniknięty tym wyrazistym przypomnieniem... Czy był wśród tych łobuziaków?

Przyciskał rozpaloną twarz do muru.

A później podarł na strzępy swoje notatki dotyczące znęcania się nad zwierzętami. Podarł na drobne strzępy i wrzucił do blaszanego pojemnika.

Posłyszał ściszone głosy w kuchni. Syn i żona szepczą. Skradał się korytarzem. Drzwi uchylone. Spojrzął. Stoją przy zlewie. Żona przykucnęła. Spoglądają tam, w kąt, gdzie w misce leży sałata. Wyraźnie tam. Znowu coś szepczą. Przypomniał sobie, że trzy dni już nie zmieniał sałaty. Odszedł po cichu. Zamknął się w swoim pokoju... Co mówił syn z żoną? A ci wszyscy w kamienicy? Dozorca, lokatorzy, zgraja szczeniaków. Prezes i ta gruba?... Jak oni byli ubrani? Pytanie to przyszło nagle i dręczyć zaczęło uparcie. Przypominał... Rekonstruował szczegóły ubioru... Kraciaste pumpy, brązowa bonżurka. Ta gruba w szlafroku. Szlafrok w czerwone kwiaty. Jak plamy krwi te kwiaty... Stał przy drzwiach, trzymając się oburącz za głowę. Kroki na korytarzu. Głos syna. Odskoczył i położył się na tapczanie. Leżał z wciśniętą w poduszkę twarzą.

On sam? Lat czterdzieści kilka, regularnie zarysowana twarz, myślące oczy, włosy lekko szpakowate, jeszcze gęste, figura szczupła i umięśniona, bez zniekształceń typowych już dla tego wieku. Inteligent z wolnym zawodem, architekt, w dodatku wzięty, a więc zarobki znaczne i pewna twórcza satysfakcja, przeżycia wojenne i powojenne dość typowe dla tego pokolenia. Do niedawna jeszcze spotykał się z towarzyszami konspiracyjnych akcji podczas okupacji.

Ale czynił to rzadko, bez specjalnego uniesienia i sentymentu do przeszłości. Raczej rzeczowy z natury. I mało mówny. Od lat już spokojny i ustabilizowany, bez uniesień właśnie i zbyt wygórowanych nadziei. Przygody miłosne nieliczne, a więc nie burzące udanego małżeństwa. Dobry mąż i ojciec. W stosunkach z ludźmi powściągliwy i opanowany.

– Tak mało o tobie wiem... – wyrwało się kiedyś żonie.

Wzruszył ramionami. W milczeniu już dopili poobiednią kawę...

Otworzyły się drzwi pokoju obrad kolegium i młoda urzędniczka w kusej spódniczce wezwała zgromadzonych w sprawie żółwia do wnętrza.

Stół był nakryty zieloną materią, trzy pary oczu jak czujne zwierzęta wlepiły się w niego. Jeszcze zmuszając się do wysiłku, rozróżniał twarze. Jeszcze widział dozorcę, młodzieńców z parku, piegowatego, chudą inspektorę i innych. Jeszcze czuł dłoń żony na swoim ramieniu. Jeszcze zobaczył życzliwy błysk oka dozorczy.

Szturchnął go właśnie.

– Ja tam będę świadczyć za panem – szepnął cieć. Z trudem po kiwał głową.

Już tylko szara, gęsta mgła i w niej ruchliwe plamy. A na suficie trupio migoczą jarzeniówki. I tylko coraz silniej głosy poczęły brzmieć, głucho i natarczywie. Aż kulił się pod tym dźwiękiem zwielenokrotnionym jak echo.

I własny głos też słyszał, ale jakby nie przez niego wypowiedany. Obcy i odległy. Więc to mówił chyba on sam: – Żółw wypadł, po prostu, przypadkowo wypadł z balkonu...

Ich głosy: – Wypadł? Tak sobie wypadł po prostu! Nigdy nie wpadał i tak nagle... Dziwne!

Jego głos: – Obsunęła się deseczka zagradzająca wyjście na balkon.

Ich głosy: – I co dalej?

Jego głos: – Leżał na betonie. Skorupa popękana, zmiążdżony, pełno krwi... Martwy.

Ich głosy: – Czyżby? A przecież się ruszał. Świadkowie stwierdzili. Ruszał się...

Jego głos: – Być może, drgnął. Ale to były już tylko odruchy, skurcze mięśni. I koniec. Martwy na pewno...

Ich głosy: – Ciekawe, proszę dalej...

Jego głos: – I wtedy pojechałem pogrzebać gdzieś... Wybrałem park. Śpieszyłem się, żeby syn nie zobaczył... Bardzo był przywiązany do tego żółwia. Więc łopatką saperską wykopałem dół...

I znowu ich głosy: – A właśnie to ważne, ta łopatka...

Naraz przed zebranych świadków wysunęła się ta chuda o końskiej twarzy kobieta, inspektorka Kama. Pod pachą trzymała swoją wypchaną torbę, pełną notatek i raportów, a oburącz unosiła ostrożnie, jak cenną relikwię, zawiniątko w szarym papierze. Widział wszystkie jej czynności wyraziście. Zamglony świat wirujących plam ustąpił ostrym konturom. A ona patrzyła swym bystrym, jadowitym okiem nieustannie na niego.

Zbliżyła się do stołu, za którym siedzieli członkowie kolegium, i tam złożyła swoje zawiniątko.

Z napięciem rejestrował jej czynności.

Ona zaś uniosła ponownie zawiniątko ze stołu, rozwinęła papier i wysypała jego zawartość na stół pokryty zieloną materią. Rozległ się grzechot. Przybliżył się do stołu, a oczy ukrył w dłoniach. Przez palce patrzył jednak jak zahipnotyzowany. Na stole spoczywały szczątki żółwia. Zeschnięte i skurczone strzępy, ułamki potrzaskanej skorupy, krew i ziemia.

Oderwał dłonie od oczu i krzyknął. Początkowo był to tylko zwierzęcy ryk i nic więcej. Palce rozczapierzył jak szpony.

– Zamordowałem! – zawył, dłonie napęczniały mu żyłami, jakby chciał zamordować naprawdę.

Wybuchło zamieszanie. Szurgot odsuwanych krzeseł. Czyjeś głosy, czyjeś ręce...

Zaraz jednak opadł ciężko na ławę. Zmęczony i bezbronny. Ci za kolegialnym stołem też usadowili się wygodnie. A po chwili zaszeleściły papiery. Już nic nie widział i nic nie słyszał.

I tylko ten natarczywy obraz z dzieciństwa.

...Z rozbitych skorup wynurzają się żółte dzióbki piskląt, gołe szyjki i mokry, rzadki puch. Dzióbki otwierają się szeroko, ślepe oczy powleczone błoną... Coraz więcej skorup z gramolącymi się niezdarnie pisklętami... A nad nimi unosi się stopa, wielka i płaska stopa. Sę-kate paluchy, czarna, poryta pięta. Stopa olbrzymieje... Z sekundy na sekundę. Opadnie zaraz i zmiążdży to wszystko...

Pytanie: – Czy obwiniony przyznaje się do zarzucanego mu czynu – pozostało bez odpowiedzi.

Opowieść taksówkarza

Jeżeli zamek zamarznie, to najlepszy jest płyn hamulcowy. Kilka kropel wlać do środka i kręcić kluczykiem. Można też podgrzać. Dziś rano miałem takie ćwiczenie z zamkiem. Ale silnik zapalił od razu. Kursy były niezłe. Niewiele jeździ taksówek. Przydziały benzyny dla prywatnych taksówkarzy są ograniczone. Na lewo od wojska kupiłem kanister. Stoją w lesie zaraz za naszym osiedlem. Cała kolumna transporterów. Pilnują fabryki. Zmarznięci, głodni. Wpadli do cukierni na naszym osiedlu i w kilka minut wszystkie ciastka wyjedli. Pasażerowie małowówni raczej. Boi się człowiek człowieka. Kapusie wyjdą na wierzch. Zaczną węszyć i premię za czujność pobierać. Wiozłem jednego takiego. Futrzana czapa, morda czerwona, nabita. Mongoł. W lusterku go widziałem. Sprawdzić mnie chciał taki syn.

– Wreszcie – powiada – będzie spokój i porządek.

– Co, proszę? – ja mu na to.

– No jak to? – pyta. – Pan jest odmiennego zdania?

– Co, proszę? – powtarzam. – Słabo słyszę, bębenki w uszach mi popękały.

Minę zrobił głupią. Tak na mnie popatrzył wilkiem. Skończyła się rozmowa. Wsiadł na Puławskiej w pobliżu tego rezerwatu bezpieki. Być może na służbę śpieszył. Tam posterunek za posterunkiem. Zatrzymują wozy, sprawdzają. Centrala stanu wojennego.

A z pasażerami rozmaicie. Jeden mówi: milicja miała dostawę na świąteczny stół, wie pan? Ze stawu w Łazienkach wyławiali dla nich karpia. Z pół tony nocą wybrali. Najlepszy gatunek. Królewski karp. Coś pan myślał! – dodał widząc moje zdziwienie. – Napracowały się chłopaki!

To nie był prowokator. Wyczułem go. Swojak. Kaszel taki miał. Długi, rżęzący. Z nadmiaru gorzały.

– I łabędzie będą tłuc – powiedział i sporta przełamał na dwie połówki. Jedną osadził w szklanej lufce.

Palacze kiepsko mają. Przydział kartkowy dla nich nie wystarcza. I tacy jeżdżą. Mówią, jak mówili. Nie zamurowało im ust. Przeważ-

nie jednak ludzie milczą. Nie mają humoru. Siedzą tak, łby zwieszane, i jak zderzy się taki z moim spojrzeniem w lusterku, to odwraca oczy. Przeżycia, kłopoty. Może ktoś z bliskich aresztowany, internowany. Wiozłem pewne starsze małżeństwo. Ona mówiła cały czas, że była internowana. Obóz, druty, baraki, apel. Starszy do niej: cicho, cicho, kochanie... – I głaskał ją po ręce. A mnie na boku wyjaśnił, że nerwy jego żonie wysiadły. Wiozł ją do głupiejewa na Nowowiejską. Różnie ta wojna na ludzi podziałała. Taka starsza osoba. Pamięta okupację. Łapanie, egzekucje. Odbiło jej. Czemu nie? Paru takich wiozłem, co opaski czarne nosili na rękawach. Na znak żałoby z powodu tego stanu wojennego. Młodzi jeszcze najlepiej się trzymają. Taki jeden po amerykańsku ubrany, w kurtkę z napisem US Army, mówi na koniec kursu: zna pan to? Wrona orła nie pokona! – I w śmiech. Dobrze, że młodzi nie pękają. Nadzieja jakaś, przyszłość. Bo złe myśli we łbie jednak buszują. Odpędzam, odpędzam, mózg wietrzę. Przyczepiły się, cholera jasna, jak rzep psiego ogona! Mróz ściska. Starzy ludzie umierają. Dużo pogrzebów. Telefonów nie ma, nim zawiadomią pogotowie... Te czołgi, budy i inne militarne wozy przetaczają się ulicami. Watahy milicjantów łążą, wężą. Można tym się zatruć! Zwalczać to w sobie trzeba. Tylko jak? Dziś to kilka razy mnie zatrzymywali. Prawo jazdy, stan licznika, wóz rewidowali. Najbardziej zdenerwowałem się tą ostatnią kontrolą. Już do domu zjeżdżałem. Wolno tak. Myślałem, że jeszcze jakiegoś pasażera zabiorę w swoim kierunku. Halt! Zatrzymują. Żołnierze w waciakach, uszate czapki, automaty w pogotowiu. Zmarznięci, przytupują. Od spodu ich obuli marniutko, w gumiaki.

– Dokumenty! – paluchy im zgrabiały, ledwo kartki w dowodzie przerzucają.

– Zimne te gumiaki – mówię.

– W środku mają ocieplenie – jeden odpowiada. – Ale zimne.

– Bo ci z ZOMO – zauważyłem – przyzwoite wojluki mają.

Nic nie odpowiedział.

Ten z drugiej strony wozu, kapral, odzywa się:

– Niech pan tylne drzwi otworzy.

Otworzyłem. Pod siedzeniem zaczęła grzebać. Dynamitu czy petardy szukał? Nie znalazł. Zapalam silnik.

– Zaraz – mówi – od spodu zobaczymy. – Klęka i łeb pod wóz pakuje. Bach! Oberwał się złodziały śnieg. Czapka mu spadła. Wylazł. Nos smarem ubrudzony. Z trudem śmiech hamuję. – Jeszcze bagażnik – warczy.

Przycisnąłem guzik. Otworzył. Tam zapasowe koło, narzędzia i nic więcej. Czekał wężycielu! Popracujesz jeszcze na tym mrozie! Tak pomyślałem. Zamknął bagażnik. I ledwo to zrobił, wieko znów odskoczyło. Powtórzył. To samo. Bagażnik w moim wozie trzeba umieć zamknąć. Tylko sposobem. I tak zaczął tym wiekiem tłuc. Co przycisnął, to mu odskakiwało. Aż sapać zaczął. Walił coraz mocniej.

– Uwaga! – papierosa zapaliłem. I tak mówię: – Popsujecie mi pokrywę, obywatelu kapralu!

Popatrzył na mnie i nic nie powiedział.

A ja ręce sobie na kierownicy opieram i czekam spokojnie. Radio włączyłem i muzyka płynie.

Załamła się wreszcie gorliwy żołnierz. Poprosił, żeby mu pomóc.

– No właśnie! – powiedziałem. – I po co ci to było, kolego?

– A co?! – wybuchnął. – Ja to wymyśliłem?

Już mu się pomału zaczyna przejaśniać w głowie.

Nowe życie

Stał na poboczu pustej, wiejskiej drogi i podtrzymywał kobietę. Ona była przeraźliwie. Psy z najbliższych zagród zaczęły odpowiadać na ten przenikliwy, nabrzmiały bólem głos. Był bezradny. Ból chwycił ją o północy i trzymał uparcie. Wzmagął się nawet. Patrzył na nią z niepokojem. Jej oczy zabłysnęły wilgotnie. Płakała.

Stał już długi czas na tym rozstaju. Stąd było dziesięć kilometrów do miasta. Tam znajdował się szpital. Raz już miał nadzieję. Wpatrzył się z napięciem w rosnące światła reflektorów. Zaczął machać rękoma i krzyczeć. Osobowy samochód minął go nie zwalniając wcale. Patrzył bezsilnie za oddalającym się światłem. Złorzeczył szeptem. Zapanowała cisza. Kobieta przestała jęczeć. Tylko oddychała ciężko. Czuł jej gorący, chory oddech.

– Lepiej ci? – zapytał z nadzieją.

Pokręciła głową. Całym ciężarem ciała wspierała się na nim.

Znów patrzył w ciemność. W cztery strony zbiegających się dróg. Białe pola. Nad ziemią wisiało czarne niebo bez gwiazd. Kobieta

wydała przenikliwy jęk. W ciszy ten głos ogromniał. Psy rozszczękały się zajadle. Jej twarzy nie widział w ciemności. Słyszał chrzęst zębów, kiedy nimi zgrzytała. Dostrzegł też jej wielki, rozsadzający palto brzuch.

Z prawej strony rozbłysły światła. Powiększały się szybko. Usadowił kobietę na pryzmie kamieni i rzucił się na drogę. Ciężarówka zahamowała gwałtownie. Chwilę jeszcze toczyła się po oślizgłej nawierzchni. Z szoferki posypał się grad przekleństw. Pobiegł po kobietę. Wziął ją na ręce. Ugiął się pod ciężarem jej bezwładnego ciała. Potykając się zaniósł ją do samochodu. Wdrapał się na stopień.

– Do szpitala! – wydyszał. – Natychmiast!

Kierowca otworzył drzwi i pomógł mu ułożyć kobietę na siedzeniu. Ona cały czas pojękiwała.

Kierowca włączył motor i ruszył tak ostro, że wozem aż zarzuciło. Nie mówił nic. W szoferce było ciepło. Z radia płynęła muzyka. Proporczyki umocowane nad lusterkiem falowały lekko jak na wietrze.

Odetchnął głęboko.

– Dziękuję, kolego – powiedział.

Kierowca podsunął mu paczkę papierosów.

Miał sztywne od zimna palce i z trudem wyłuskał papierosa. Zapalił chciwie.

– Co jej jest? – zapytał kierowca. Był to młody chłopak. Światło mijanej latarni odsłoniło jego twarz. Pokazał się mocny zarost na policzkach i głębokie cienie pod oczami.

– Bóle porodowe – odpowiedział i popatrzył na bladą, spoconą twarz kobiety. Oddychała z wysiłkiem.

– Przycisnę na gaz – powiedział kierowca. – Migiem będziemy w mieście.

Ta stara, rozklekotana ciężarówka popędziła w nie znanym jej dotąd tempie. Silnik kaszlał i rząził. Cały wóz skrzypiał i trzeszczał.

– Grat, ale posłuszny – powiedział z zadowoleniem kierowca. Zatrzymało ich mocne światło naprzeciw. Kierowca odruchowo opuścił głowę. Oślepiło go światło. Drogę zagradzał motocykl z przyczepą. Dwaj milicjanci potrząsali groźnie maszynową bronią.

– Wilki – warknął kierowca.

Ciężarówka wyhamowała z trudem. Zatrzymali się przed samym motocyklem.

- Kontrola – rzekł jeden z milicjantów.
- Za ostro jeździsz – dodał drugi rozcierając zmarznięte uszy.
- Kierowca podał swoje dokumenty. Milicjant oświetlił latarką kobietę i mężczyznę siedzących obok niego.
- Do szpitala ich wiozę – wyjaśnił kierowca. – Na trasie stali.
- Kobieta jęknęła.
- Milicjant przyglądał się jej dłuższą chwilę.
- Wasze dokumenty.
- Mężczyzna zaczął przetrząsać kieszenie. Znalazł wreszcie portfel.
- Milicjant przekartkował uważnie jego dowód. Półgłosem przeczytał nazwę miejscowości, w której mieszkał mężczyzna.
- Co robicie o tej porze – ponownie oświetlił go latarką. Tamten przymknął oczy.
- Mówiłem przecież – odpowiedział za niego kierowca. – Do szpitala jadą.
- Drugi milicjant zaszedł od tyłu ciężarówkę. Podniósł plandekę. We wnętrzu leżały ciasno ułożone worki.
- Kartofle do fabryki... – rzekł kierowca. – Dwie tony.
- Milicjant począł obmacywać worki. Czynił to powoli i starannie. Ten pierwszy oddał dokumenty kierowcy. Zatrzymał dowód mężczyzny.
- A ona? – wskazał na kobietę.
- Mężczyzna gładził machinalnym ruchem dłoń kobiety. Poprawił delikatnie jej opadającą głowę.
- Ona może umrzeć za chwilę – po raz drugi odpowiedział za niego kierowca.
- Milicjant mruknął coś niezrozumiale. Nie ponowił pytania. Oddał dowód mężczyźnie. Tamten zadygotał cały i z jego ust wydobył się dziwny, chrapliwy dźwięk. Kierowca ścisnął go mocno za ramię.
- W porządku tam? – zapytał milicjant swojego kolegę, który sprawdzał worki z ziemniakami. Puścił silny snop światła z latarki na tył ciężarówki. – Nie przewozi czegoś? – dodał nagle nieufnym głosem.
- Czysty – odpowiedział drugi milicjant i opuścił plandekę. Rękawicą starannie otrzepał kurtkę.
- Pierwszy milicjant zgasił latarkę. Kopnął wołokowym, ciężkim buciorem w oponę przedniego koła.
- Powietrza przymało – zauważył i ziewnął przeciągle. – Jedźcie!

Kierowca przekręcił kluczyk w stacyjce. Zapalił motor. Zgasł zaraz. Ponowił próbę. Milicjanci coś mówili do siebie. Przez dychawiczny kaszel silnika dobiegł śmiech jednego z nich. Za którymś razem silnik zapalił już na dobre. Ciężarówka ruszyła. Kierowca podsunął mężczyźnie papierosy. Zapalili.

Mężczyzna otarł pot z czoła kobiety. Jej głowa leciała do tyłu.

– Śpi – szepnął. Ale gdy spojrział jeszcze raz, zrozumiał, że ona straciła przytomność. – Prędejj! – krzyknął.

Ogarnął go strach. Nie będą mieli dziecka. Poroni. Urodzi się martwe. Modlić się zaczął. Przypominał sobie słowa dawno zapomnianej modlitwy.

Wśród nocnej ciszy

Miasto zamiera już wczesnym wieczorem. Autobusy pędzą jak widma, a ostatni pasażerowie kulą się w nich strachliwie. Latarni pali się niewiele. Ciemną pustką zieją ulice. Tu i ówdzie widać żałobne okna kawiarni i restauracji. Są zamknięte. Sterczą nogi krzesel ustawionych na stolikach. Nikłowy błysk ekspresu. Puste półki.

Miasto zapada w ciężką, przymusową noc. Jedyne właściciele psów pokazują się jeszcze ze swoimi czworonogami. Trzymają się w pobliżu domów i czujnie spoglądają na zegarki.

Panuje głucha cisza. Każdy odgłos życia brzmi zwielokrotnionym echem między murami. Wtedy z okien wyglądają ludzie. Rozsuwają firanki i patrzą. Ludzie więc nie śpią. Czuwają.

Tego wieczoru jak zwykle panowała głucha cisza. A wieczorów tych było już sto kilkadziesiąt.

W pobliskim kościele odezwał się zegar na wieży. Wybił jedenaście uderzeń. Wraz z ostatnim jego uderzeniem jakaś sylwetka wynurzyła się zza węgła narożnej kamienicy. Skradała się pod murem. Spóźniony przechodzień. Dopadną go?

O tym zapewne pomyślała starsza pani, która wyjrzała z okna na pierwszym piętrze.

Niebo było bez gwiazd i bez księżyca. I w ciszy tej policyjnej nocy raptownie rozległy się donośne kroki.

Ludzie z okien zobaczyli żołnierzy podążających jezdnią. To nie był patrol. Czterech i szli gromadką. Zdjęli swoje wojskowe pasy i pomachiwali nimi z rozmachem. Pasy uderzały sprzączkami w ka-

mienie bruku. Wzbijały się iskry. Żołnierze zataczali się i potracali. Przystanęli i wsłuchali się w kocią muzykę miłosną z parku.

– Kici, kici – wołali.

Koty darły się ludzkimi, strasznymi głosami.

Dostrzegli ludzi w oknach. Zerwali z głów czapki. Podrzucaли je w górę. Czapki spadały na bruk. Chwiejąc się i padając na kolana podnosili czapki z jezdni.

– Polska jest jedna! – wrzasnął któryś z nich. Zatoczył się na latarnię. Pokłonił się nisko ludziom w oknach. Objął latarnię i ciężko zwiesił głowę. Powłókł się za swoimi kolegami.

Dochodzili do skrzyżowania ulic. Nadjechał autobus zmierzający do zajezdni. Zahamował i przepuścił żołnierzy. Oni zatrzymali się znów i wykonali osobliwy, pijacki taniec.

– Wyonaczyć, wysobaczyć! – zawył przeraźliwie ten sam, co poprzednio. Rzucił czapkę na jezdnię. Deptać ją zaczął.

Inni odpowiedzieli mu nieartykułowanym wrzaskiem.

Te głosy i tupot podkutych butów jeszcze przez pewien czas niepokoiły ciszę nocy.

Ludzie w oknach powoli zasłaniali firanki i gasili światła. Tylko w jednym małym okienku na poddaszu majaczyła jeszcze jakaś sylwetka.

Wiosenny spacer

Bywają dni lepsze i gorsze. W tych gorszych wszystko zamienia się w koszmar i ohydę. Niestety, gorszych dni jest więcej. Dzisiejszy dzień do takich najpodlejszych zaliczam. Włókł się jeszcze tak wolno. Wymięty jak szmata, wróciłem do domu. Marynia w lot chwyta moje nastroje i o nic nie pytała. Tylko szybko podała kolację. Udało jej się zdobyć podroby. Z tych podrobów ugotowała gulasz na wzór węgierski. Zacząłem jeść. Niby smaczne, pikantne, a śmierdzi. Wściekłem się. Tym bardziej że Franek kupił na chamowie pół świńniaka i ma z tego żarcie palce lizać! Przedwojenne wyroby, tak mówił. Miał nielichą wałówkę w biurze. Kielbasa, kaszanka. Oczywiście nikogo nie poczęstował. Ten gulasz może nawet tak bardzo nie cuchnął. Ale w dzisiejszym stanie ducha to mi wystarczyło. Odstawiłem talerz. Z hałasem, owszem. Marynia patrzy na mnie wystraszona. Opanowałem się ostatkiem sił.

– Nie mam apetytu – wydusiłem z siebie te słowa i zapaliłem papierosa. Palę Caro. Były niezłe na początku. Teraz są okropne. Gorzkie, drapią w gardle, sieczka, nie tytoń. Wszystko tak zamienia się w świństwo, ohydę. U nas weryfikację przeprowadzała egzekutywa. Oni nawet dosyć porządni i postarali się rzecz całą po ludzku zrobić. Po prostu sami z siebie każdemu wpisali: „Postawa społeczno-polityczna nie budzi zastrzeżeń”. Bardzo przyzwoicie. Każdy mógł na to przystać. Nikt nie czuł się pohańbiony czy do czegoś zmuszony i bardzo gładko ta weryfikacja leciała. Okazało się jednak, że wszędzie są szuje, paskudy, no brak mi słów! Stawaliśmy przed tą inkwizycją, czytali nam opinię i każdy z nas odchodził zadowolony. Tylko Herczak aż się zachłysnął z oburzenia:

– Postawa społeczno-polityczna bez zastrzeżeń! – zawołał. – To ja, ideowy członek partii, syn robotnika, który walczył z uciskiem sanacji, ojciec dwóch obywateli sprawujących odpowiedzialne zadania na froncie politycznym i ekonomicznym...

Takie ścierwo! Jeden syn jest kadrowcem w PBP 1. Drugi kierownicą w Animexie, wozi dyrektora. I jeszcze wyliczał swoje zasługi. Pomyśleć: żaden fachowiec, jego projekty ciągle trzeba poprawiać, przy tym leń, ile to razy był na zwolnieniu lekarskim...

Egzekutywa zbaraniała. Na taki numer nie byli przygotowani. Targ w targ, zmienili mu opinię. Wydali panegiryk na cześć ideowego komunisty. Z podkreśleniem, że wykazuje szczególne zrozumienie i należyta aktywność w trudnych warunkach stanu wojennego. Moim zdaniem to jest zakamuflowany ubowiec, który odsłonił się wreszcie. Nasz komisarz wojenny, porządny raczej człowiek, młody major, oświadczył poufnie dyrektorowi, że bezpieka bardzo się rozpanoszyła, nawet władzom wojskowym trudno wziąć na smycz tę sforę, nie mówiąc już, żeby te drapieżne kły zneutralizować kagańcem. Bo ja wiem? Może jedni na drugich co najgorsze zwalają...

Chociaż herbata była wysmienita. Mocna, aromatyczna. Marynia jeszcze przed wojną kupiła większy zapas Assamu i Madrasu. Ona zawsze skrętnie różne produkty chomikowała. Jednak miała rację. Z ulicy już od dłuższego czasu dochodził ryk silnika. Ten bydlak z parteru znów coś majstruje przy swoim Polonezie. Nie liczy się z nikim i na cały regulator puszcza silnik. Już chciałem wychylić się z okna i powiedzieć mu coś obelżywego.

– Daj spokój – powiedziała Marynia.

Sam przestał za chwilę. Też jakiś mętny typ. Nie wiadomo, czym się zajmuje. Wiecznie uśmiechnięty. Jakby jeszcze bardziej poweselał w tym stanie wojennym.

Włączyłem telewizor na dziennik. Tak machinalnie wcisnąłem guzik i dopiero się zaczęło! Ta brednia, kłamstwo. Szczególnie stężoną strugą dziś pociekło. Gęby spikerów uroczyste, namaszczone. Słowa pieszczą, z niezwykłą atencją różne kalumnie, obelgi i groźby wypowiadają. I jacy brzydacy! Wstrętne, robaczywe gęby! O, migawka filmowa, nazywają to reportażem z życia. Jacyś kolaboranci mówią w imieniu załogi fabryki pras. Chwałą wszystko, produkcja wzrasta, ludzie odetchnęli, nareszcie spokój i porządek. Znam tę fabrykę pras, współpracujemy z nimi od dawna. 13 grudnia mocno ich spacyfikowali, potem jeszcze przez dwa tygodnie nocami z domów wywlekali ludzi. Ale oni ciągle protestują. Na pięć, dziesięć minut przerywają pracę, nagle w halach głucha cisza, maszyny stoją. Od razu ta sfora wojenna rozbiega się po halach, węższą, prowodyrów chcą wyłować. A oni nic, milczą. Każdy ma wytłumaczenie, coś mu się zacięło, to musiał naoliwić, przykręcić, poluzować... Czyli dwie rzeczywistości. Rzeczywistość telewizyjna i życie. Jak to można znieść? Prosto z życia zasiadam przed telewizorem i inny świat przed oczyma się rozpościera. Następnie jakiś tłusty łysoń, oszust upozorowany na Mędrca, zaczął uzasadniać wyższą konieczność stanu wojennego. Profesor, filozof, tak go przedstawili. Krew mi uderzyła do głowy. Szum, ucisk w skroniach.

– Ty łobuzie! – nie wytrzymałem tej eskalacji. – Jak możesz tak tą japą kłapać! Żeby ci język kołkiem stanął!

– Też! Masz do kogo mówić... Przecież to śmieć – tak powiedziała Marynia. – Nie bądź śmieszny!

Miała rację. Przecież w ten sposób ulegam tej propagandzie. O to im idzie. Wstałem. Chciałem wyłączyć to kloacze pudło. Ale Aśka zaprotestowała. Potem mają dać jakiś film. Nauczyła się wysiadywać przed telewizorem. Ma dwanaście lat i już zatrzuwa się tym smrodem. Pal licha! Niech Marynia martwi się o swoją ukochaną córeczkę. Wychowa ją na telewizyjną idiotkę z sieczką we łbie. A, róbcie, co chcecie! Wyszedłem się przejść. Park blisko. Stare miasto. Ochłonę trochę, wywietrzę się z tych całodziennych miaz-

matów. Ładny, ciepły wieczór. Już wiosna. Zawsze to lepiej dla oka. Zamazali na murze ten wczorajszy napis. Zima wasza, wiosna nasza! Ale głupio zamazali. Słabo pociągnęli farbą i właściwie dalej jest to widoczne. Nic nie umieją zrobić. Partaczą. Ludzie sobie spacerują. Dużo młodzieży. Obejmują się, szepczą czule słówka. Niedługo Aśka zacznie chodzić na randki z chłopakami. Może już chodzi? Mniej patroli. Tu przy skrzyżowaniu był posterunek, sprawdzali ludzi, samochody. Teraz zlikwidowany. Tam pod arkadami też warowali. Nie ma ich. Już od kilku dni rozluźnili ten gorset stanu wojennego. Również nie jeżdżą ulicami. Te skoty, budy i gaziki na sygnale. Taka kolumna regularnie wieczorem przejeżdżała naszą ulicą. W innych miejscach miasta ta samo. Pokaz siły. To był nacisk psychologiczny. Jesteśmy. Czuwamy. Wszędzie. Tu w parku, pamiętam, jeszcze tydzień temu, szedłem sobie zamyślony i oni jak spod ziemi wyrosli. Trzech. Dokumenty. Długo sprawdzali. Patrzyli na mnie badawczo. A przecież była dopiero dziewiąta wieczór. Teraz przestali. W pracy jeden technik opowiadał, że wracał po godzinie policyjnej do domu, kawał drogi, pieszo, ani razu nie natknął się na patrol. Tak, poluzowali trochę. Jednak nic to nie znaczy. Przyczaili się po prostu. Czuwają z ukrycia. Zawsze mogą zza krzaków wyskoczyć. W każdej chwili z tej czy z tamtej bramy wyjdą. Siedzą gdzieś po kątach. Czuwają, broń oliwią, te krótkofalówki bez przerwy nadają. Gotowi!

W parku trawa ładnie się zazieleniła. Dywan taki. Ci młodzi na ławkach sobie siedzą. Migdała się, jak to się mówi. Co to za młodość! Człowiek ma takie krótkie życie, tyle chorób czai się zewsząd i jeszcze ten ustrój, psia krew! Ten, co ma szwagra w bezpiece, mówił, że przed pierwszym maja będzie ostry reżym. Ściągają ZOMO, wszystkie hotele będą przez nich zajęte. Boją się, żeby tak zwane Święto Pracy nie wymknęło im się z łap. Żeby prawda nie przemówiła. Wyobraziłem sobie, jak z tyłu zachodzę patrolującego zomowca i dotykam go lekko w ramię: – Hallo! – Odwraca się nerwowo. Patrzą: a zomowiec ten ma gębę Herczaka łobuza. I ja go cap za przyrodzenie! Tak z całej siły. Pada jak ścięty. Biorę to wypasione cielsko pod obcasy.

Z trudem wyzwoliłem się z tego sadystycznego czadu. Przyspieszyłem kroku. Biegłem wprost tymi parkowymi alejkami. Czy to marszobieg? Ciemno już. Za każdym krzakiem wyobrazałem sobie

zomowca. Każdy mocniejszy stukot butów kojarzył się z patrolem. Cywile też podejrzenie wyglądali. To nie mania prześladowcza. Taki poczciwy z pozoru cywil może okazać się tajnym funkcjonariuszem. Ja tym łobuzom nic a nic nie wierzę! Zwolniłem kroku. Przecież to spacer do cholery!

Lustracja

Kapuś to ściervo. Kojarzy się z marnością najmarniejszą. Słyszysz „kapuś” i już widzisz szczurzą, odpychającą twarz, rozbiegane oczy i mokry, śliski uścisk wiecznie spoconej dłoni. Taki stereotyp daje pełnię satysfakcji. Tylko że pełnia rzadko się zdarza naprawdę. Opowiadał Jurek, były milicjant, który służbę opuścił w randze majora, o pewnym przypadku nader interesującym dla badaczy problemów zdrady, donosicielstwa, agentury i kamuflażu.

Czasy były jeszcze peerelowskie, kiedy Jurek przeszedł na rentę. Mężczyzna był młody, energiczny – w tych organach wcześniej przechodziło się w stan spoczynku – toteż podjął pracę w biurze turystyki zagranicznej. Miał tam znajomych, kolegów rencistów z milicyjnego resortu, i oni przyjęli go z otwartymi rękoma. Po kilku latach zaczął myśleć o własnym interesie. Wtedy już PRL zamienił się w III RP. W pasażu pawilonów handlowych znalazł podupadający sklep artykułów elektronicznych. Właściciel, człowiek stary i schorowany, za niewysoką cenę odstąpił lokal i były major zadebiutował w handlu.

Pasaż handlowy w centrum miasta to doskonale miejsce i Jurek miał widoki na powodzenie. Postanowił zająć się konfekcją damską i przystąpił do urządzania sklepu. Od razu jednak napotkał poważne trudności. Społeczność handlowców w pasażu zbojkotowała nowego właściciela sklepu. Było to bardzo dokuczliwe. Kłopoty z dostawcami, problem z podłączeniem do wspólnej sieci wodociągowej, w ogóle odmowa jakiegokolwiek pomocy ze strony sąsiadów. Nawet wyraźne szykany. Ktoś mu zamazał szyld nad drzwiami. Wybili szybę wystawową. Obrażliwy napis na murze sugerował, że jako oficer milicji był zaprzańcem i pachółkiem Moskwy. Przez kilka tygodni znosił te dokuczliwości cierpliwie. Ale tylko do czasu.

W końcu postanowił rzecz całą rozstrzygnąć swoimi sposobami.

Spotkał się z dwoma najbardziej szanowanymi kupcami w pasażu. Były to tuzy w branży handlowej, najbardziej tutaj zasiedziali; przetrwali kilkadziesiąt lat w PRL-u jako prywatna inicjatywa. Starszy z tych dwóch miał reputację nieprzejednanego patrioty, prawdziwego Polaka z krwi i kości. Zawsze wygarniał, co myśli o komunie,

wprost i dawał znaczne sumy na „Solidarność”. Teraz, w czasie rozkwitu kapitalizmu, był prezesem kupców swojej gildii, wybrany do władz centralnych. Jurek spotkał się z każdym osobno. Rozmowy były krótkie i rzeczowe. Znał doskonale ich teczki. Byli to informatorzy o wieloletnim stażu, mieli pseudonimy, swoich prowadzących oficerów. Pracując w wydziale przestępczości gospodarczej komendy stołecznej, nieraz korzystał z ich cennych donosów. Prawdopodobnie jeden z nich pracował też dla pionu politycznego, czyli bezpieki.

Powiedział im o tym bez ogródek, dodając perfidnie, że choć obowiązuje go w tej materii obowiązek zachowania tajemnicy służbowej, to jednak potrafi informację o nich tak umiejętnie rozpowszechnić, że tracą swoją świetną reputację i znajdują się na samym dnie moralnego upadku. Słuchali w grobowym milczeniu. Nie odezwali się słowem. Starszy kupiec rozplakał się. Drugi próbował go całować po rękach.

– Dogadaliśmy się? – zapytał jednego, a potem drugiego.

Pokiwali spiesznie głowami.

W jego sytuacji nastąpiła radykalna zmiana. Właściwie z dnia na dzień. Stały lody i został przyjęty do społeczności z otwartymi rękami. Teraz jego współzycie z kupcami w pasażu rozwija się harmonijnie i bez zakłóceń. Odwiedzają się w domach, pamiętają o swoich urodzinach i imieninach. Były major milicji mówi o tym z pewnym wstrętem i rezygnacją.

– Gdybym nie wykonał tego ruchu – powiada – to zostałbym zrujnowany i wdeptany w ziemię jak robak.

Górá Edek

To ten z *Tanga* Mrożka. Przebojowy, agresywny cham. Zrazu popularny, rozrasta się i dominować zaczyna. Szybko osiąga swoje żarłoczne cele. Skojarzenie nasunęło mi się w związku z pewnym incydentem zaobserwowanym na zapchanej samochodami, niewielkiej ulicy w centrum miasta. Hałas klaksonów, zgrzyt hamulców, smród spalin. Tłok. Na tej ulicy szczególnym problemem było zdobycie miejsca do zaparkowania.auta stały rzędem zajmując do połowy trotuar dla pieszych. Inne sunęły powoli, czyhając na możliwość wsunięcia się na chodnik. Przypadkiem byłem świadkiem sceny, która stała się inspiracją do niniejszego sprawozdania.

Właśnie z wolności się miejsce w ciasnym rzędzie samochodów i to mały fiat podjechał jako pierwszy, pragnąc wsunąć się w szczęśliwie powstałą lukę. Jednak nieudolny kierowca zapędził się zbyt daleko, odsłaniając część miejsca upatrzonego do zaparkowania. Natychmiast za nim, niczym jakiś drapieżnik, pojawił się wielki, lśniący ford. Naparł dynamicznie, przystając ledwie w odległości kilku centymetrów od „malucha”.

Kierowca małego samochodu naciskał raz po raz klakson, zawiadamiając o swoim pierwszeństwie. Jednak luksusowy kolos ani myślał ustąpić. Wspaniały, w kolorze „szafir metalik”. Mały fiat to żałosne biedactwo wobec takiego masywu!

Wojna nerwów trwała dosyć długo. Coraz bardziej gwałtowny klakson „malucha” był bezskuteczny. Inne samochody przyłączyły się do zamieszania równie głośnym trąbieniem, wyrażając swój protest przeciw blokowaniu przejazdu. Kierowca fiata wychylił się z okienka – głosem i na migi informował kierowcę forda o swoim prawie do pierwszeństwa. I to także na nic się zdało. Tamten tkwił w swojej agresywnej, napierającej pozycji bez zmian.

Obserwowałem z niewielkiej odległości nieruchomą postać o równie nieruchomym obliczu za kierownicą forda. W pewnym momencie kierowca „malucha” nie wytrzymał. Załamał się. Ustąpił. Przejechał kilka metrów do przodu. Wtedy ford miękko i bezszelestnie, imponując zwrotnością i zdolnością plasowania się w ciasnej przestrzeni, zajął zdobyte miejsce. Kierowca fiacika jeszcze nie zrezygnował do końca. Chciał chociaż dać głos w sprawie dziejącej się nieprawości. Wysiadł z samochodu. Był to niewysoki, drobny młodzian o szczupłej twarzy, w okularach. Inteligent jakiś. Prawie równocześnie wysiadł z forda jego właściciel. Wysoki, tęgi mężczyzna w skórzanej kurtce. Widziałem jego krok. Mocny, zamaszysty.

– Panie, jak tak można? – zabrzmiał głos kierowcy „malucha”, drgający bezsilną skargą. A „Edek”, bo on to był, sunął jak wieża obłącznicza i z wysokości swoich 180 przeszło centymetrów patrzył przed siebie – wcale nie widząc tego cherlaka w okularach. Wymusił i zdobył miejsce dla swego forda. Teraz parł do następnego celu. Zniknął w pobliskiej bramie, opatrzonej tabliczkami z nazwami firm i przedstawicielstw handlowych.

W sobotę

Wcześniej się tutaj pobudował. Z rozmachem. Pałacyk, z dwiema wieżycami, ogrodzony klinkierowanym murem zakrytym gustownym daszkiem. Duża posesja z romantycznym stawem, pełnym nenufarów, skalny ogródek, srebrne świerki. Wnętrze domostwa urządził z podobną doskonałością. Toteż standardem, nakładami i urodą dwie budowle na tej ulicy były sobie równe. Jego i sąsiada pod lasem. Wozy, którymi jeździli, były tak samo najwyższej jakości. Mercedesy najnowszej generacji. Obaj gustowali w tej marce i od samochodu zaczęła się sąsiedzka zażyłość. Kiedyś tak się stało, że o tej samej porze wracali do domu i tamten zwolnił, uchylił szybę i zagadał.

– Prawda, panie sąsiedzie, na nasze bryki nie możemy narzekać? Najwyższy top, jadąc, po prostu odpoczywam... Od słowa do słowa wymienili szereg poglądów na różne neutralne tematy.

– Serdecznie zapraszam na drinka – powiedział sąsiad na koniec tej przypadkowej rozmowy. Termin ustalili w najbliższą sobotę. Ten drink to była wystawna kolacja. Jego żona bardzo miła, przystojna. Kobiety szybko znalazły wspólny język. A oni nieźle sobie podpili. Żadne tam drinki w wysokich szklankach, tylko szwedzki Absolut w oszronionych kieliszkach. O interesach w ogóle nie rozmawiali. Pełny relaks. Zauważył tylko, że już podczas tej pierwszej kolacji kilka razy odezwał się telefon i wtedy sąsiad przechodził z salonu do innego pomieszczenia, rozmawiał swobodnie po niemiecku, angielsku. Rozmowy telefoniczne zdarzały się również w trakcie następnych wizyt. Raz nawet tamten był lekko zdenerwowany. – Jak sam wszystkiego nie dopilnujesz – powiedział – to od razu wynikają kłopoty.

Na pewno był człowiekiem pracowitym. On sam wyjeżdża do miasta o ósmej, a wóz tamtego przejeżdżał przed jego oknami już o siódmej. Wracał późno. No i tak się utarło, że raz w miesiącu oni bywali u niego, w następnym zaś miesiącu on wraz z żoną u nich. Sąsiad zaraził go swoim entuzjazmem do zimowego ogrodu i on też postanowił u siebie wybudować oszkloną, ogrzewaną oranżerię. Nieźły pomysł. Roślinność tropikalna, taka podręczna dżungla, jak w Amazonii. Za oknem breja, czarno, a tu puszcza zwrotnikowa. Dobre, nie?

W tym miesiącu kolej wypadła na sąsiada pod lasem, byli do niego zaproszeni w niedzielę na dwudziestą. Tragedia wydarzyła się w sobotę o zmierzchu. Sąsiad wracał z miasta. Zazwyczaj nie wysiadał z wozu, tylko pilotem otwierał bramę i wjeżdżał na posesję do garażu. Tym razem zatrzymał wóz przed bramą i wysiadł. Nie wiadomo dlaczego. Może pilot mu się zepsuł? A może zauważył jakąś rysę na murze, nedoróbkę w ogrodzeniu? Oni wybiegli z lasu. Trzech. To trwało bardzo krótko. Oddali kilkanaście strzałów. Strzelali w głowę. Tak szybko, jak się pojawili, tak zniknęli. Pierwsza wybiegła żona. Włączyła alarm. Potem zbiegli się sąsiedzi. Przyjechała ochrona obiektu. Policja. Pogotowie. Też tam pobiegł. Z głowy zrobili tamtemu miazgę. Tyle razy strzelali! Okropny widok.

Sobotni wieczór. W niedzielę o tej samej porze byli zaproszeni do niego. Stał przy oknie i patrzył w ciemność. Wstrząsnęły nim dreszcze. Wyobraził sobie, jak to on podjeżdża pod swój dom i wysiada z samochodu...

Musiał zadzwonić do kogoś, kto nie ma takiego pałacu, takiego samochodu i innych podobnych walorów.

Kat i ofiara

Sklepek był pusty i senny. Dwie sprzedawczynie. Jedna oparta o ladę, tyłem do drzwi, słuchała radia i wyginała się wdzięcznie w takt muzyki. Młoda i rozmarzona. Liczyła niecierpliwie czas do wieczornej randki. Druga starsza, siedziała za kasą i przerzucała bez szczególnego zainteresowania strony kolorowego tygodnika, poziewywała. Półki pełne były damskiego, męskiego i dziecięcego obuwia. Wabiły przeceną.

Weszła. Miała zamiar kupić buty stosowne na zbliżający się czas chłodu i słoty. Ostatnie dni nieodwołalnie zapowiadały kres pogodnej jesieni. Zauważyła sportowe buciki na grubej podeszwie. Brązowe, zgrabne w kształcie, wyłożone ciepłą imitacją futerka. W sam raz. Już wyciągała rękę. Przymierzy. Wtedy poczuła z tyłu gwałtowne szarpnięcie za włosy. Bardzo zabolalo. Fryzurę miała krótką i po chwili udało się jej wyswobodzić z brutalnego uścisku. Obejrzała się. Za nią stała wysoka, chuda kobieta. Przeraziły ją jej oczy. Bładoniebieskie, wodniste, zapalały się w nich zimne błyski.

– Ty parszywa Niemro! – posłyszała syczący, nabrzmiały furia głoś tamtej kobiety.

Tamta postąpiła bliżej i pochyliła się nad nią, jakby pragnąc jej coś dyskretnie powiedzieć. Ale nic nie powiedziała i tylko drgały jej wargi zaciśnięte w grymasie upiornego uśmiechu. Zamachnęła się i uderzyła pięścią w twarz. Tak kilka razy. Kobieta zatoczyła się na półki z obuwiem i zasłoniła twarz rękami. Nie wydała z siebie żadnego głosu, jęku, krzyku, nic. Osłupiała. A kiedy opuściła ręce i podniosła głowę, w sklepie nie było już nikogo. Tylko niedomknięte drzwi kołysały się lekko. Przesunęła dłonią po twarzy. Ciekła jej krew z nosa. Dwie sprzedawczynie wybiegły zza lady. Wpatrywały się w nią zdumione.

– Co ona od pani chciała? – zapytała starsza.

– Kto? – przesunęła językiem po wargach, poczuła smak krwi.

– No, tamta!

– Nie wiem – odpowiedziała. – Ja jej przecież nie znam.

– A ja myślałam, że panie są razem – zdziwiła się starsza sprzedawczyni. – Ona weszła zaraz za panią...

– Skąd! – zaprzeczyła.

Młodsza podała jej paczuszkę papierowych chusteczek. Wytarła krew ciekącą z nosa. Opuszkami palców przesunęła po rozbitych wargach. Piekły. Brązowe półbuty leżały na podłodze. Jeszcze jakies. Musiały zapewne spaść z półki, kiedy zatoczyła się na ścianę.

– Niesamowite! – powiedziała starsza sprzedawczyni i wyjrzała przez okno.

Ulica była pusta. Żadnych przechodniów. Żadnego też śladu po wysokiej, chudej kobiecie. Zapadła się pod ziemię.

Wychodząc ze sklepu przystanąła w drzwiach i ostrożnie wysuwając głowę, rozejrzała się w jedną i drugą stronę. Nie była Niemką. W dodatku straciła w Oświęcimiu ojca. Pamiętała jego numer wytatuowany na przedramieniu. Także nigdy w życiu nie skrzywdziła nikogo tak bardzo, żeby być narażona na czyjąś zemstę. A mimo to bardzo się bała. Nadal przesywały ją bladoniebieskie, okrutne oczy kota. Na ulicy nic się nie działo i gdyby nie puchnący szybko nos i smak krwi na rozbitych wargach, można by to wszystko było uznać za zły sen. Pobiegła chyłkiem wzdłuż muru. Pragnęła jak najszybciej znaleźć się w domu.

Rzeka

Miasto zawsze dzieliła rzeka i to lewobrzeżne było ważniejsze, a dzielnice na drugim brzegu żyły swoim odrębnym rytmem i na przykład ci z Pragi przekraczając most, powiadali – jedziemy do Warszawy. W tych słowach brzmiała zapowiedź wyprawy. Wcale to nie przesada. Po jednej stronie był wschód nie tylko w znaczeniu geograficznym, po drugiej zaś mocniej zawiewało Europą. Od niepamiętnych czasów brzegi naszej królowej rzek, Wisły, stanowiły samoistne obszary. Rzeka była nie uregulowana i jej kapryśny nurt oraz wiosenny przybór wód tworzyły wiele mielizn, łąch i wysp. Jedną z tych wysepki rzecznej archipelagu żulia z Czerniakowa nazwała wyspą Arara i latem podążano tam wpław na łotrzykowskie konwentykłe. Po praskiej znów stronie bliżej Żerania była łącha nazwana Pawią Wyspą z powodu hucznych libacji wieńczonych z reguły „pawiem”. Dosyć znane określenie wybuchu z przeładowanego napojami wysokowymi organizmu.

Nadrzeczne łąki często zalewała woda i powstawały dzikie, zarosnięte wikliną obszary. Dużo się tutaj działo i chaszcze ukrywały nadrzeczne życie przed okiem niepowołanych intruzów. W tych ostępach odbywały się miłosne spotkania, libacje, przestępcze samosądy. Nierzadko po zimie w jakiejś zapadlinie czy jamie odkrywano ludzkie zwłoki trudne do identyfikacji.

Noclegiem dla włóczęgów bywały zabudowania żeglarskich przystani: baraki, magazyny, hangary do składowania łodzi, które gęsto obrosły przede wszystkim prawy brzeg. Wynurzali się stamtąd o świcie brudni, zarosnięci osobnicy i z utęsknieniem oczekiwali słońca.

Rzeka dzieląc miasto na dwie oddalone od siebie części dawała jego mieszkańcom szansę ucieczki, spokoju i wytchnienia od udręk codziennej egzystencji. Pokolenie za pokoleniem wystawali nad jej brzegami cierpliwi rybacy. Jeszcze w latach 50. ryby, które łowili, były jadalne. W miarę upływu lat wody rzeki przyjmując w swoje koryto tony nieczystości ze ścieków miasta i jego okolic stały się mętne, brudne, zatrute i upalnym latem od wody bił fetor jak z szamba. Jednak rybacy dalej uprawiali swój refleksyjny proceder. Łowili ryby

już raczej dla czystej, zgoła abstrakcyjnej sztuki i niezatartym wspomnieniem pozostał dla mnie widok dwóch ludzi nad rzeką. Jeden był bardzo stary. Drugi bardzo młody. Starzec wtajemniczał chłopca, może wnuczka, w arkana ustawiania splotnika, ciężarka, nabijania chleba czy kartofla na haczyk i umiejętnego zarzucania żyłki wędziskiem na wodę. Wobec nowoczesnego sprzętu wędkarskiego i współczesnych sposobów był to kunszt archaiczny, tradycyjny. Pewno dziś jego wnuk korzysta ze spinninga, automatycznego kołowrotka i innych ułatwień. Kiedyś także widziałem dwóch rybaków, mężczyzn w sile wieku, którzy rozstawili kilka wędek na brzegu między kamieniami raczyli się wódką z butelki i scyzorykiem wydziobywali z puszki szproty lub skumbrie w pomidorach. Za nimi stał brudny, wyłysiały bocian w typowej swej pozycji na jednej nodze. Czasem sucho klekotał długim, czarnym dziobem. Rzucali mu wtedy jakieś resztki. Zbierał je skrzętnie. Oswojony bocian! Okulawiony, z przetrąconym skrzydłem, wyrzucony z gniazda. Jeden z mężczyzn znalazł go, wychował?

Rzeka dawała chleb dynastiom wiślanych piaskarzy. Cieszyli się oni opinią chłopów na schwał i niekiedy dawali pokaz swych możliwości. Przeważnie zdarzało się to podczas zabaw u Wedla po tamtej, praskiej stronie. Port czerniakowski i ten po drugiej stronie wykształciły kastę wodniaków, bosmanów, sterników, majtków, mechaników. Nosili oni chętnie pasiaste, marynarskie koszulki i okrągłe, granatowe czapki z lakierowanymi daszkami, ozdobione emblematem rzecznej żeglugi. Tak samo jak piaskarze nie dawali sobie dmuchać w kaszę i do późnej jesieni mieszkali na berlinkach, holownikach, pogłębiarkach i barkasach.

W naszym zmaltretowanym mieście rzeka spełnia niebagatelną rolę estetyczną. Cieszy oko i nieraz chwyta człowieka nagła ochota, żeby pójść jej brzegami przed siebie. Można patrzeć na żółte łachy, śnieżne stada mew. Tak pięknie wschodzi słońce, wznosząc się po czarodziejsku ponad wieże kościoła św. Floriana, baniaste kopuły cerkwi i korony drzew. A jeżeli spacerujemy po prawobrzeżnej stronie, to spoglądamy na masyw zamku i staromiejską zabudowę, za którą osuwa się zachodzące słońce.

Jeszcze do niedawna pływały statki wycieczkowe do Młocin. A bardzo dawno temu popłynąłem sobie statkiem do Płocka. Skoń-

czyły się te długie rejsy. Koryto nie pogłębiane, zmienny nurt, pełno zdradliwych płycizn. Rzeka jednak żyje nadal i, mimo że miasto napiera z dwóch stron, zachowała swą niezależność. W jej mętnej, brudnej wodzie zakłęta została resztką smaku swobody i tak dziwnie jakoś pociąga obserwacja kawałka drewna czy patyka, który płynie z prądem. Skąd płynie? Dokąd? To miało i ma swój czar.

Piszący te słowa przeczytał gdzieś to, co powiedział pod koniec tamtego wieku w rozmowie ze Stanisławem Witkiewiczem Szalom Asz, znakomity pisarz żydowski. Powiedział on tak: „Co mi tam Jordan! Wisłych to jest moje rzeki! W niej przez tyle setek lat odbijały się światełka naszych szabasowych świec”.

Książę niezłomny

W Domu Chłopa też się zmieniło. Firmy, kantory, agencje. Zgodnie z duchem czasu jest nawet „Rancho Country Club”. Ale na parterze zachowała się jeszcze dawna restauracja, ciemna, dworcowa hala. Tu do późnych lat 70. zbierali się weterani miasta. Nie wiedzieć czemu upodobali sobie to miejsce i schodzili się na pogwarki okraszane gorzałką. Byli to ludzie, dla których żywa pozostała Warszawa lat przedwojennych, okupacji i czasu powojennego. Stare domy, ulice, knajpy, kabarety. Dawne historie, ludzie. Wszystko żyło w ich pamięci. Cóż to były za osoby! Lichwiarz, zwany dziadem, Zygmunt Krzywy. Lolek Antoniewicz, bard umarłych szynków i „artystek z variétés, które miłości nie biorą zbyt na serio”. Bracia M., mówiący „żywym Wiechem”. Słynny z absurdałnego dowcipu hulaka B. Pan Kard, który miał rurkę w miejscu przełyku i mógł tam lać (i lać!) wódkę lejkiem. Na pewno zaglądał tutaj Stasiek S., wpisany w powojenne annały kryminalnych afer strzałem z pistoletu, który miał go pozbawić życia. Kula utkwiała mu w mięśniach potylicy i nic mu się nie stało. Ten cudowny przypadek spowodował ujęcie słynnego mordercy ludzi majątnych. Oni to stanowili rdzeń barwnego towarzystwa i tak czarodziejsko wskrzeszali miasto. Dawna Krochmalna i bazar Janasza. Pasaż Luksemburski i pasaż Italia. Restauracje Lija, Wróbla, Simona i Stockiego, Osochina, Kowalskiego, Kino Corso, Napoleon. Bujna, szalona noc od Adrii, Huraganu, Starej Baśni po Oazę, Polonię, Paradis, Strzechę i Sielankę. Pikniki w Młocinach, wiślani piaskarze, żulie na Starówce i Rybakach. Okupacyjny geszeft i pa-

triotyczna konspiracja. Walki o Pastę, kanałem do Śródmieścia, Krwawa Łaźnia na Powiślu. „Białe niedźwiedzie”, NKWD i bezpieczeństwa. Kurestwo i wzniosłość. Śmiech i gorycz.

Wszystko to bardzo dawne stało się tak bliskie, namacalne i czas miniony w tych niezwykłych opowieściach powracał z soczystą wyrazistością.

– Tam gdzie ja, tam i wódka! – wołał Lolek Antoniewicz, przypominając o zamówieniu następnej kolejki.

Wymarli w większości dawni bywalcy. Zabrała kostucha sterynych wojowników. Nieliczni żyjący, niedołączni i dotknięci starczą demencją, wegetują w szpitalach, przytułkach. Tak sobie myślałem, zaglądając do tej restauracji na parterze. Nagle osłupiałem, jakbym zobaczył zjawę! Bo oto w kącie siedział przy stoliku Rysiek M., jeden z bohaterów tamtego zamkniętego rozdziału. Wyglądał nader dziarsko, choć bardzo był otyły. Taka baryła rozdęta od wieloletniego nadużywania trunków. Jednak oczy miał bystre, żywe i musiał coś ciekawego opowiadać, gdyż siedzący w jego towarzystwie młodzi eleganci podejrzanej proveniencji bardzo byli zasłuchani. Zdumiewał w tej nieoczekiwanej odsłonie zachowany przez Ryśka M. jego niezmienny tryb życia. Popijał jak dawniej, korzystając z butelki umieszczonej w papierowej torbie pod stolikiem. Krzepił się raz po raz łykiem i toczył swą narrację. Zapatrzony w zjawę, przypomniałem sobie Ryśka M., jak w przyspieszonym filmie, na przestrzeni przeszło czterdziestu lat.

Mały sklepik jubilerski na Chmielnej, przychodzą jacyś sportowcy, pragną sprzedać złotą bransoletkę.

– Czy to jucht? – pyta rzeczowo Rysiek M. Słowo „jucht” oznacza pochodzenie towaru z kradzieży.

Paradis we wczesnych latach 50. i Rysiek M. Każę kelnerowi zestawić stoły w podkowie. Wydaje improwizowaną libację i gości będzie co najmniej dwudziestu. Jest z nim jego starszy brat, siwy mężczyzna o szlachetnej twarzy, łudzaco podobny do holenderskiego pisarza Multatuli, głośnego u schyłku minionego wieku. Majaczy tam także wyniosła, dystygowana sylwetka Andrzeja Szokalskiego, najprzystojniejszego mężczyzny z moich rodzinnych Włoch.

Wyprawa na Dół do Zygmunta Krzywego. Na ulicę Cecylii Śniegockiej. Pijemy w gronie opryszków z Czerniakowa. Zygmunt pro-

wadzi nas na wiślaną łachę, zwaną przez miejscowych wyspą Arara. Zygmunt Krzywy (nos złamany kolbą pistoletu przez żandarma w czasie okupacji) był jednym z najstarszych przyjaciół Ryska. Razem uczęszczali do renomowanego gimnazjum Giżyckiego na dalekim Mokotowie. Obaj z zamożnych mieszczańskich rodzin. Stara przyjaźń. Z tą różnicą, że Rysiek miał zawsze szczęście do zdobywania pieniędzy. Natomiast Zygmunt Krzywy był zupełnie pozbawiony talentów w tym względzie.

Znów potoczyło się ileś tam lat i z mgły czasu minionego wyłania się wczesnym rankiem Rysiek M. na bazarze Różyckiego. Rozbawiony, wielodniowy zarost na twarzy. Ucztuje na zapleczu jakiejś budy z Cyganami, paserami. A Lolek Antoniewicz wyśpiewuje mu frywolne kuplety rymowane na poczekaniu i zależnie od stopnia uznania Rysiek M. wciska mu w kieszeń banknot o większym lub mniejszym nominale.

Jak ten czas pędzi! Z tego pędu hulaszczey trójki przypomina mi się kolacja w Kameralnej i Rysiek M. pytający szydyczko:

– Ile trafisz na tych swoich książkach?

Parska śmiechem, słysząc odpowiedź. Mojemu koledze po piórze, Andrzejowi Bonarskiemu, proponuje ze względu na znajomość angielskiego dobrze płatną posadę korepetytora swej córki. Śmiech rekina, drańskie oczy, bujne włosy, wtedy tylko szpakowate.

Jeżeli chodzi o Andrzeja Bonarskiego, to drwina nie poszła w próżnię i jest on dziś dynamicznym wydawcą (żółta księga telefonów) i biznesmenem. Rysiek M. był jak opoka. Silny, twardy. Prymitywny i pozbawiony skrupułów. Wspaniale dawał sobie radę w gąszczu interesów, które uprawiał z talentem od okupacji przez cały PRL. Nade wszystko jednak uwielbiał szampańską zabawę w wesołej kompanii. Hojny był dla błaznów i trefnisiów. Ladacznicy i trubadurów. Balownik! Tak mówiono o nim w mieście.

Przepadli w nicości jego starsi i młodszy kompani. A on nadal w ciemnym kącie restauracji Domu Chłopa trwa na posterunku. Ci młodzi cwaniacy tak go chciwie słuchają. Jak miód spijają jego słowa. Aż opróżnił butelkę w papierowej torbie i zakołysał się po pijacku. Uwięzły słowa w gardle, opadła mu głowa. Wtedy jego płatny opiekun, ekskelner Czombe, osobnik o urodzie małpóluda,

dźwignął z niemałym trudem jego masywne ciało i przy pomocy dwóch młodych słuchaczy zataszczył go przed budynek do taksówki oczekującej na parkingu. Powiózł w domowe pielesze na zasłużony odpoczynek ostatniego z ostatnich, co tyle epok przetrwali w tym mieście.

Od wydawcy

Od wielu lat z kręgu środowisk polonistycznych płyną alarmujące głosy o stanie świadomości literackiej Polaków. Chcielibyśmy, aby obejmowała ona pełny kanon literatury polskiej, ale nie mamy pewności, że tak jest. Chcielibyśmy także, by funkcjonowały w niej nazwiska autorów spoza kanonu szkolnych lektur, ale wiemy, że tak nie jest. Sporo napisano już o tym, że literatura bywa dziś wypychana z miejsca, które jeszcze niedawno zajmowała w hierarchii dóbr kultury. Widzieliśmy i wciąż obserwujemy, jak stopniowo traci ona swoje ważne miejsce w formowaniu języka komunikacji społecznej.

Dość dużo wiemy również o kryzysie czytelnictwa – o tym, że ma on dwa wymiary. Najbardziej uchwytne jest ten ilościowy – Polacy czytają niewiele. Warto pamiętać jednak również o aspekcie jakościowym. Opracowany jeszcze w dwudziestolecu międzywojennym i doskonalony po drugiej wojnie światowej system kształcenia kompetencji czytelniczych zwrócony był przede wszystkim ku literaturze pięknej. Jak piszą badacze, jeszcze w latach 80. polscy uczniowie – inaczej niż ich koledzy w Europie Zachodniej – mieli szansę zdobywania umiejętności umożliwiających dekodowanie tekstów trudnych – wyrafinowanych artystycznie. W latach 90. ów sprawdzony system został jednak odrzucony na rzecz takiego, który pozwala opanować przede wszystkim umiejętność czytania tekstów użytkowych. Skutki widzimy dziś gołym okiem. Koordynatorzy Olimpiady Literatury i Języka Polskiego oraz uniwersyteccy wykładowcy od dawna utyskują na obniżającą się poziom umiejętności czytania i pisanania wśród kandydatów na studia polonistyczne oraz wśród studentów polonistyki. Ci z kolei skarżą się na brak rzetelnych i zarazem przystępnie napisanych opracowań. Czy mają rację? Wydaje się, że tak. Brakuje dziś książek przypominających choćby te, które ukazywały się w ramach „Biblioteki Analiz Literackich”. Stąd pomysł powołania do życia niniejszej serii wydawniczej.

Kierujemy ją do uczniów, studentów, nauczycieli i wszystkich tych, którzy nie stracili jeszcze wiary w wartość literatury jako narzędzia komunikacji w ramach pewnej kulturowej i narodowej wspólnoty. Pamiętając, że pisarzom tworzącym dawniej poświęcono już wiele opracowań naukowych i popularnych, będziemy w niej prezentować wyłącznie dorobek autorów współczesnych. Chcemy oddać w ręce czytelników zarówno reprezentatywny wybór tekstów danego pisarza czy poety, jak i wybór kontekstów ważnych dla jego twórczości – biograficznych, ideowych, gatunkowych i tym podobnych. Zależy nam na tym, by dać czytelnikom klucz umożliwiający otwarcie samego wnętrza tekstów literackich. Właśnie dlatego każdy tom zawiera propozycje interpretacji kilku utworów – istotnych w dorobku danego twórcy. Zdajemy sobie sprawę, że proponowane przez nas opracowania nie są w stanie wypełnić wszystkich luk polskiej świadomości literackiej. Wierzymy jednak, że stając się częścią szerszej zakrojonych działań służących zahamowaniu czy nawet odwróceniu opisanych wyżej tendencji, będą one ważnym elementem procesu przywracania naszej zbiorowej pamięci nie tylko znaczących pisarzy oraz ich dzieł.

Redakcja

Streszczenie

Popularna monografia poświęcona twórczości Marka Nowakowskiego przedstawia biogram autora, ogólną charakterystykę jego twórczości oraz szczegółową interpretację opowiadań: *Śmierć żółwia*, *Raport o stanie wojennym*. Publikacja zawiera także czternaście opowiadań w wyborze Macieja Woźniaka.

Summary

A popular monograph devoted to the works of Marek Nowakowski presents the author's biography, general characteristics of his works and a detailed interpretation of stories: *Death of a turtle*, *Report on the Martial Law*. The publication also contains fourteen stories chosen by Maciej Woźniak.

Spis treści

Wykaz stosowanych skrótów dzieł literackich	
Marka Nowakowskiego	5
Rozdział I	
Życie jak rzeka. Biografia Marka Nowakowskiego	7
Rozdział II	
Odcienie historii, odcienie świata.	
O twórczości Marka Nowakowskiego	15
1. Wędrowiec o wielu twarzach	15
2. Mały realista?	16
3. Kronikarz PRL	21
4. Literatura moralnego niepokoju	27
5. Wędrowiec i literatura pamięci	32
6. Wiele tekstów, jedno dzieło	37
Rozdział III	
By jednym słowem uchwycić świat.	
Interpretacje wybranych utworów	39
1. <i>Śmierć żółwia</i> . Kłamstwo i pułapka	39
2. <i>Raport o stanie wojennym</i> . Mozaika ludzkich losów	47
Bibliografia przedmiotowa	55
Nota o autorze	57
Antologia	59
Ten stary złodziej (1958)	61
Ten stary złodziej	61
Silna gorączka (1963)	69
Los	69
Mizerykordia (1971)	75
Grad	75
Śmierć żółwia (1973)	81
Śmierć żółwia	81

Raport o stanie wojennym (1982)	101
Opowieść taksówkarza	101
Nowe życie	103
Wśród nocnej ciszy	106
Wiosenny spacer	107
Prawo prerii (1999)	113
Lustracja	113
Górą Edek	114
Opowiadania uliczne (2002)	117
W sobotę	117
Kat i ofiara	118
Powidoki: chłopcy z tamtych lat (1995)	121
Rzeka	121
Książę niezłomny	123
Od wydawcy	123
Streszczenie	125
Summary	126

Content

List of used abbreviations of literary works of Marek Nowakowski	5
Chapter I	
Life like a river. Biography of Marek Nowakowski	7
Chapter II	
Shades of history, shades of the world.	
About the works of Marek Nowakowski	15
1. Wanderer with many faces	15
2. Little realist?	16
3. Chronicler of the Polish People's Republic	21
4. Literature of moral anxiety	27
5. Wanderer and literature of memory	32
6. Many texts, one work	37
Chapter III	
To capture the world in one word.	
Interpretations of selected works	39
<i>Death of a turtle. A lie and a trap</i>	39
<i>Report on the Martial Law. Mosaic of human destinies</i>	47
Subject bibliography	55
Note about the author	57
Anthology	59
This old thief (1958)	61
This old thief	61
High fever (1963)	69
Destiny	69
Misericorde (1971)	75
Hail	75
Death of a turtle (1973)	81
Death of a turtle	81

Report on the Martial Law (1982)	101
Story of a taxi driver	101
New life	103
In the stillness of the night	106
Spring walk	107
The law of the prairie (1999)	113
Lustration	113
And the winner is Edek	114
Street stories (2002)	117
On Saturday	117
An executioner and a victim	118
Afterimages: boys from those years (1995)	121
River	121
The Constant Prince	123
From the publisher	123
Summary (PL)	125
Summary	126

Dotychczas wydane

Dotychczas w serii Biblioteki Kwartalnika Kulturalnego „Napis. Liryka, epika, dramat” wydano:

Adrian Gleń, *Języki rzeczywistości. O twórczości Juliana Kornhausera*, Kraków 2018.

Andrzej Sulikowski, *Rynek i coraz dalsze okolice. O twórczości Janusza Szubera*, Kraków 2018.

W przygotowaniu:

Konrad Tatarowski, Renata Nolbrzak, *Liryka i polityka. Jacek Bierezin, Zbigniew Dominiak, Zdzisław Jaskuła, Witold Sulikowski – o twórczości poetów podziemnego pisma „PULS”*.

Dorota Heck, *Topika, tren i tło. O twórczości Wojciecha Wencla*.

NAKLAD:
9000 egz.

LICZBA ARKUSZY:
8,5

Książkę złożono fontami: Humanist i Brygada 1918
oraz wydrukowano na papierze Amber Graphic, 90 g.

DRUK I OPRAWA:
Drukarnia Leyko, sp. z o.o.
ul. Tadeusza Romanowicza 11, 30-702 Kraków